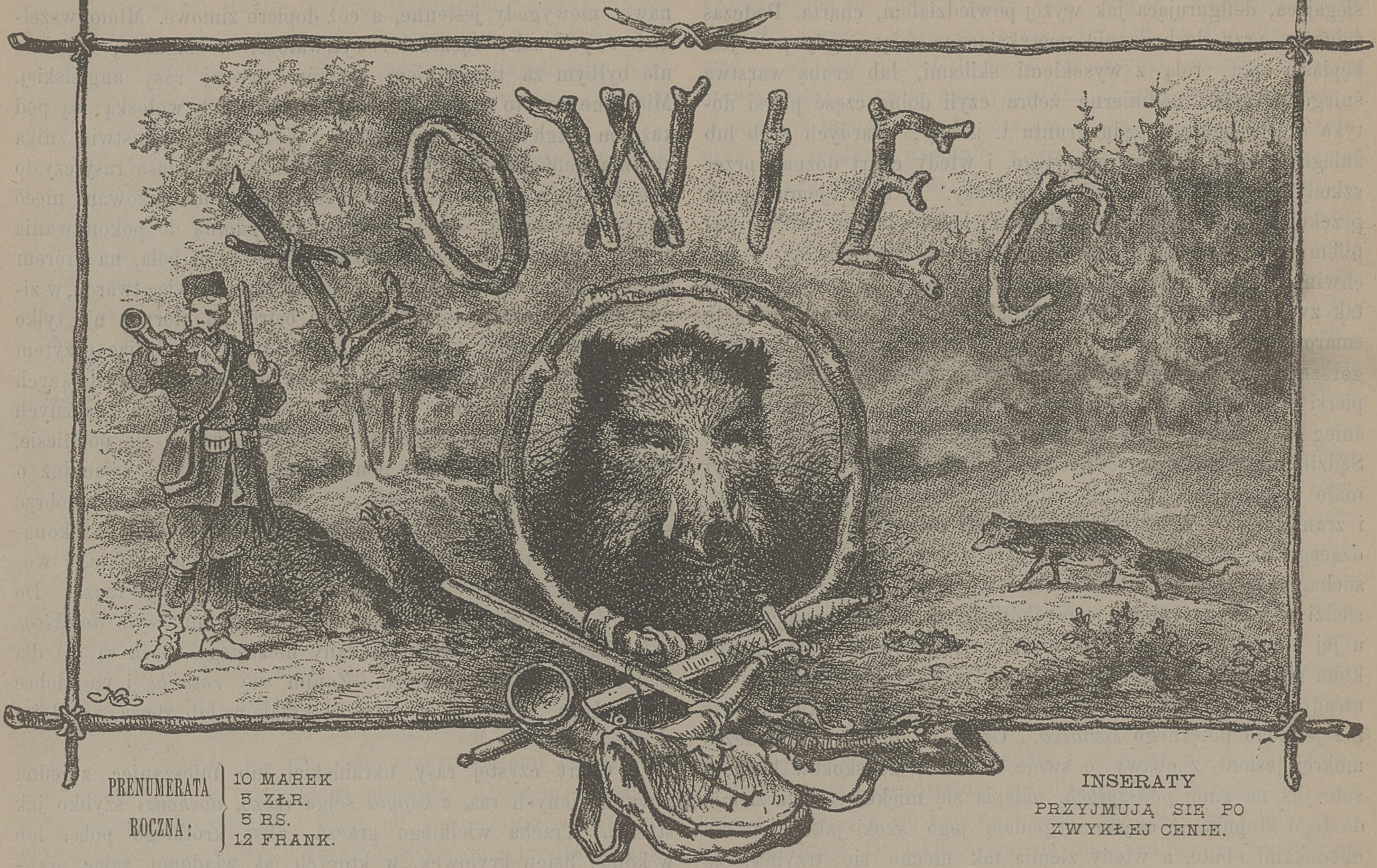
Nr. 5. Lwów, dnia 1. Maja 1880. Rok III.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK 5 ZŁR. 5 RS. 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

SPRAWY GALIC. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wpisali się do Towarzystwa łowieckiego:

Abrahamowicz Adolf.
Bobrowski Marceli.
Czerwiński Kazimierz.
Garapich Władysław.
Gorecki Stanisław.
Grand Józef
Jasiński Stanisław.
Jurnatowski Jan.
Krogulski Seweryn.
Paszkudzki Mieczysław
Rakowski Józef.
Stojowski Bolesław.
Walewski Antoni.

CHART

PRZEZ

Alexandra Ubysza.

Polowanie z chartami.

(Ciąg dalszy).

Charty ukraińskie na pierwszy rzut oka, szczególnie nie wielkiego znawcy, wyglądają trochę kundysowato. Zwykle sądzi się z pozorów, nader częstc łudzących. Chart ukraiński więcej zaokrąglony, żebra nie zchodzą się z sobą w dolnej części z podbrzuszem, jak u innych chartów. Jego kształty więcej uwydatniają siłę fizyczną do stoczenia walki z lisem a nawet wilkiem. Całość korpusu narysowana muszkułami, lędźwie szerokie tak, iż całe krzyże pomimo wygięcia kości pacierzowej, są płaskie. W ogóle chart rasy ukraińskiej nie bywa nadmiernie długim. Charty rasy podolskiej, węgierskiej, angielskiej a nawet wołoskiej odmiennie nieco są ukształtowane. Pierś ich z przodu węższa, żebra długie spłaszczone, ostrym ku dołowi kończące się kantem. Cały grzbiet czyli kość pacierzowa od łopatek aż ku udom równo uformowany, wierzch grzbietu ostry, wystający tak, iż okiem kości pacierzowej dostrzedz, niemal każdy ich pierścień policzyć można. Uda chude i cienkie, muszkularne, skok cienki lecz długi; u charta ukraińskiego zaś krótszy, ale grubszy. Miarę skoku biorę od kolanka do ziemi. Budowa żeber podolskiego charta ma dwie wielkie niedogodności. Naprzód łokciami przednich nóg do krwi nieraz zacierają się w obu pachwinach. Da się to z łatwością wytłumaczyć nadmierną długością żeber, a stosunkowo mniejszą przednich łopatek, z czego wynika tarcie osobliwie przy dłuższem ściga-

niu, gdy pies się rozgrzeje. Następnie drugą niedogodność stanowi zbytnia długość klatki żebrowej, płasko a długo ku dołowi sięgająca, defigurująca jak wyżej powiedziałem, charta. Podczas ścigania, przy dochodzeniu pomykającego zająca, gdy pole jest kępiastą łąką, rolą z wysokiemi skibami, lub grubą warstwą śniegu pokryte; nadmierne żebra czyli dolna część piersi dotyka często podczas pędu gruntu t. j. kęp, twardych skib lub śniegu skorupą mroźną pokrytego, i wtedy chart doznaje przeszkody w pościgu, a nawet się kaleczy. O tych ujemnościach przekonałem się naocznie. Miałem charcicę dosyć dobrą, kupiłem ją od oficera od huzarów. Suka ta zacierała się w pachwinach, które zatarcia brałem z początku za chorobę skóry tak zwaną: *weszkę*, później poznałem się na tem, i ranę tę smarowałem tłuszczem, i każdym razem goiłem. Lecz coś gorszego dostrzegłem w niej niebawem. Skóra w dolnej części piersi ścierała się tak, że krew obficie sącząca się zafarbowała śnieg. Przez długi czas nie mogłem zbadać przyczyny tej rany. Sądziłem, że może *koziołkowała*, lub skacząc przez rów, zbyt mało uniosłszy się w górę, uderzyła piersią o twardą ziemię, i zraniła się? W parę tygodni potem poszczułem zająca, siedzącego na głębokim pod zimę zoranym pokładzie. Jesień była sucha, więc rola zaschła jak kamień. Zając jak zwykle, kiedy siedzi w roli, nie obiera sobie kotliny w środku oranicy, lecz u jej końca, przytykającego do ścierni, ugoru lub łąki instynktem nauczony, że pomykanie po roli, nie tylko bieg mu wielce utrudnia, lecz często też utknąwszy na wystającej skibie, *utnie* nie jednego potężnego *koziołka*. Czyni on to również podczas mokrej jesieni z obawy o swoje chodaki, do skoków bowiem suto już na zimę *podszytych*, nalepia się miękka i tłusta ziemia do tego stopnia, iż często wyglądają jego skoki jakby istotnie chodakami obute, a wtedy ziemia tak mocno się trzyma, że nawet najsilniejsze wyrzucanie skokami nie pozbawia zająca tego niepotrzebnego mu obuwia, które bieg mu tak utrudnia, że byle jaki *kurta* pochwyci go. Zając przezemnie poszczuty był graczem pierwszej próby, zamiast pomykania pobliskim ugorem wybrał się rolą i to w poprzek zagonów. Chartów miałem troje, między którymi suka kupiona od huzara (nazwałem ją też huzarką). Zając zaprawdę gracz, ale i psy moje nie kpy, pomimo, że pomknął dość daleko przed koniem, co w porze głuchej jesieni jest rzeczą wcale nadzwyczajną. Zając wtedy siedzący w *komeszy*, znajdującej się śród łąk, zwiędłą trawą usłanych, nie słyszy chodu na nich konia lub człowieka, również na przemoczonej deszczami ścierni lub roli, *twardo* więc *dosiaduje*, a zdrzemnąwszy się traci właściwą sobie ostrożność tak, że nieraz koń mu omal na omyk nadepce, a on dopiero wtedy jak strzała wymyka. Często nawet gorsze spotykają go losy. Jadąc z chartami brałem zwykle jamnika, który doskonale tropił zająca. Jamnik ten w takiej porze i w takich miejscach złapał z dziesięć zajęcy. Gracz tedy, o którym wyżej opowiadanie rozpocząłem, mniemając, że *pogubi charty* na twardej jak krzemień roli, pomylił się srodze. *Wymotawszy* nieźle chartami, wziętym przez nie został. Tym razem podczas ścigania zająca dokładnie uważałem, jak charcica *huzarka* raz po raz dotykała piersią twardych skib, gdy dwa inne charty szły swobodnie. Skutkiem tego dotykania roli pokaleczyła się znacznie. Odtąd powziąłem przekonanie, że charty owe co do bierności są równie dobre jak ukraińskie, ale ustępują im z wyżej przywiedzionych powodów. A więc nie ma jak charty ukraińskie! Z wychowaniem szczeniąt tej rasy stokroć mniej zachodu i kłopotów. Są one więcej wytrwałe na zmiany temperatury, niemają tej dziwnej skłonności do przeróżnego rodzaju chorób, jakie posiadają szczenięta innych ras, a przedewszystkiem charty rasy angielskiej, których filigranowa budowa, gładkość włosa czyni wrażliwszymi na wszelkie najmniejsze nawet niewygody jesienne, a cóż dopiero zimowe. Mimo wszelkich swych zalet rączości i wytrwałości w ściganiu, zupełnie nie byłbym za trzymaniem chartów czystej rasy angielskiej. Mięszane czy to z rasą ukraińską, polską lub wołoską, są pod każdym względem bardzo dobre. W takiem potomstwie znika zbytnia delikatność i gładkość czyli krótkość włosa rasy czysto angielskiej, a pozostaje piękność kształtów, zmodyfikowana nieco swą podkasałością, co ją czyni mniej zdolną do pokonywania często zdarzających się przeszkód terenu czyli pola, na którem ściga. Taką przeszkodą są role w jesieni zaschłe, więc twarde, w zimie skiby zamarzłe i jak krzemień ostre, na których nie tylko kaleczą swe nagie, włosem nie *podbite* stopy, zsadzając przytem pazury, lecz nadto koziołkują często utykając na wystających skibach, doznają przeto w ściganiu i wzięciu zająca znacznych przeszkód, albowiem gdy chart *skoziołkuje*, zanim się podniesie, opamięta i *weźmie na oko* pomykającą zwierzynę, zając już o kilkadziesiąt kroków *odsadził się* od charta, który musi dobrze sobą *popierać*, by go znowu *dojść*. Niejednokrotnie przekonałem się, że charty tak zwane podolskie, czasem polskie, i wołoskie, jakkolwiek w biegu wytrwałe, nie są zbyt rącze. Do wzięcia zająca trzeba im obszernej przestrzeni czyli *dalekiego pola*. Krzaki, łozy, smugi lub łany nieżżętego zboża są już dla nich przeszkodą w pościgu. Zanim się *rozejdą* i na dobre *rozmachają*, już zając doszedłszy krzaków lub zboża, znikł im z oczów.

Chart czystej rasy ukraińskiej lub mięszaniec z jedną z wymienionych ras, *z kopyta* ściga rączo, *dochodzi* szybko jak strzała. Trzeba wielkiego gracza, zbyt krótkiego pola, lub w końcu lisich kryjówek, w których jak wiadomo, zając *przyparty* przez charty, szybko i zręcznie się kryje, aby go one nie wzięły. Z tej też przyczyny charty te zwą się u myśliwych chartami na *krótkie pole*.

Różne w mojem życiu miewałem charty, podolskie, czysto angielskie, ową węgierską sukę *Huzarkę*, nawet i wołoskie. W różnych okolicach polowałem z cudzymi chartami, i przekonałem się, że gdy zając siedział u stóp stromego wzgórza a poszczuty nie na dół, lecz w górę pomykał, żadna rasa chartów go nie dochodziła, tylko ukraińska, lub mięszana z nią. Najlepszy to dowód jej rączności i siły. Wiadomo, z jaką łatwością wspina się zając pod górę, znacznie krótsze przednie od zadnich skoki ułatwiają mu pomykanie pod górę, gdy przeciwnie na dół nader niezręcznie stacza się raczej, jak bieży. Niechaj czytelnik raczy porównać zestawiwszy okaz charta ukraińskiego lub mięszańca z okazem czystej rasy polskiej, podolskiej, angielskiej albo jakiejkolwiek innej, a przekona się naocznie, że pierwszy pod względem kształtu nóg, a nawet nieco budowy ciała podobny do zająca. Przednie nogi tego charta znacznie krótsze od zadnich, pierś u góry szeroka, bez owej nadmiernej, jak u innych chartów wąskiej i ku dołowi pochylonej klatki piersiowej, krzyż szeroki podobnie jak u zająca, im lepszego gracza, tem szerszy; gdy przeciwnie u innych ras nogi przednie mało krótsze od zadnich, pierś w dół zniżona, grzbiet wąski, uda nie tak *nabite*, co wszystko czyni go nie powiem nie zdolnym, ale znacznie mniej zdolnym do chwytania zwierzyny na *krótką metę*. Wiernym typem, a nawet prototypem czystych ukraińskich chartów, jest smycz złożona z psa i suki, sprowadzona w obecnej chwili z Ukrainy przez hr. Romana Potockiego. Wiele miałem chartów, wiele widziałem, ale tak pięknych, tak świetne niezawodnie rokujących nadzieje, nigdy nie widziałem, młode to charty w pierwszem polu. Za-

pewne wiodą ród swój z własnego gniazda. Jakżeby przysłużył się hr. Potocki, gdyby zechciał sprowadzić z Ukrainy kilka smyczy owych chartów w celu poprawienia w Galicyi rasy chartów zwiedzionej czyli zdegenerowanej przymieszką krwi angielskiej. Gdyby to się stało, wkrótce polowanie z chartami u nas innąby miało postać, i więcej zwolenników.

Rozpisawszy się obszerniej o tej rasie psów, różnej tak pod względem kształtów jakoteż właściwości od innych ras, podawszy niektóre rady odnoszące się do chowu charta, począwszy od jego najpierwszej młodości; niech mi wolno będzie dodać jeszcze kilka uwag i wskazówek, opartych nie na teoryi, lecz na długoletniej praktyce. Zapewne nie będzie w nich nic nowego, bo już przysłowie mówi: „Nic nowego pod słońcem“, niech więc one będą przypomnieniem rzeczy dobrze znanej. Kto chce mieć dobre charty, niech je od szczenięcia dobrze żywi. Nędzni rodzice nędzne też wydadzą na świat potomstwo Dobrze żywić i chować nie znaczy opychać charta resztkami z własnego stołu, dzień i noc trzymać w pokoju, pozwalając się rozlegać po sofach a nawet na własnem łożu. Takie rozdelikacenie charta pociąga za sobą te następstwa, że pies wyszedłszy w zimie na mróz kilkustopniowy trzęsie się dzwoniąc zębami, to jedną to drugą łapę w górę podnosząc. Często nawet w zimie z pola do domu ucieka, prosto pchając się pod piec rozgrzany. Nieraz poluje się przez kilka dni w liczniejszem towarzystwie, wyruszając o kilka mil od domu. Czyż można wtedy dla dogodzenia rozpieszczonym chartom wracać do domu, lub wysyłać je tam, aby przysmaczkami nakarmić i pokrzepić ich siły na wygodnem posłaniu. Owszem wypadnie często nocować w karczmie, zdala od wsi położonej. Czemże pożywić natenczas charty przyzwyczajone do wygódek, osypki z nóżkami baraniemi i innych łakotek nie ma. Więc wypada albo nie przyjąć zaprosin na takie pełne powabu zbiorowe polowanie, lub wybrać się na nie z kucharzem, z całą bateryą rondli i dobraną spiżarnią więcej dla psów jak dla siebie. W karczmie lepszej strawy nie dostanie, a najeżdżać sąsiada z taką zgrają łakotnisiów i wygodnisiów, która obłocona tarza się po kanapach i łóżkach, niepodobna. Nazajutrz po przebytych, zaiste nie wielkich trudach dnia poprzedniego, charty głodne, skulone, zniechęcone i do pracy niezdolne. Dawniej, gdy żyły na otwartem powietrzu, śród ruchu, swobodne iście jak stworzenia stepowe, rwały się za zwierzyną z ochotą i fantazyą, i mało która im uszła, dziś rozpieszczone na pięć szczutych zajęcy wzięły ledwie jednego i to młodzika. Czyż nie tak się dzieje z chartami pielęgnowanymi z niewieścią sentymentalnością? — Chart niechaj ma jako strawę codzienną, regularnie podaną osypkę z wysuszonego dobrze owsa, niezbyt miałko zaprawionego, bo taka osypka pysk zalepia, i sprawia rozwolnienie, ani też zbyt grubo, bo taka mniej pożywna, a wygląda jakby z sieczki, a pies przecież sieczki nie jada. Osypka taka niech będzie mocno wrzącą wodą zaparzona, a dodać do niej należy jako *nawarę* nóżki baranie, naprzód dobrze obuchem siekiery potłuczone. Nóżki te najlepiej warzyć w kociołku, a taki wygotowany rosół niech służy do zaparzenia i zaprawy osypki. Mięso, żyły i drobniejsze kości miesza się z osypką, która sama ochłodnie bez dolewania zimnej wody lub wątpliwej wartości pomyi, i taką raczej gęstszą jak zbyt rzadką daje się psom. Taka strawa jest smaczna i pożywna, a charty, nawet wybredne angielskie chętnie ją jedzą. Lepszego pożywienia chart dostawać nie powinien, choćby był nawet w królewskiej psiarni. W razie gdy w domu własnym, lub też na zbiorowem polowaniu zabraknie nóżek lub osypki, to przecież owies jest wszędzie, młynów również nie brak, a w ostateczności lada baba osypki na żarnach dostarczy. W braku nóżek można do osypki dodać sera, mleka, wreszcie można patrochy zajęcze, wyjąwszy z nich żołądek, w kociołku ugotować, a tak jest i rosół do poparzenia osypki i nawara do okraszenia tejże. Karmić charty padliną można tylko w zimie, i to nie bez miary, jak to czasem bywa, że psy dnie i noce przy niej spędzają wspólnie z wiejskimi kundysami zażerając się, poczem wracają do domu z pełnym wprawdzie żołądkiem, ale często ciężko pokaleczone z takiej biesiady. Padlinę (jeżeli nie z zaraźliwej choroby, bo w takim razie żadne stworzenie jej tknąć nie powinno) poćwiartowawszy przechować należy. Nie popsuje się ona na mrozie, a użyć jej można dając po kawałku psom, ale tylko w zimie, w lecie jest ona nader szkodliwą, nawet częstokroć zabójczą, bo mięso rychło podlegnie rozkładowi, wytwarzając tak zwany *jad trupi*, nie szkodliwy wprawdzie dla psiego żołądka, ale zabójczy, gdy podczas zażerania się zmięsza z śliną lub krwią. Więc wszelka padlina winna być od Maja do Października starannie i głęboko w ziemi zakopana, a na kopiec taki nałożyć jeszcze trzeba ciernia, aby ścierwa psy, wilki lub lisy nie wykopały. Ostrożność taką przestrzegać należy nawet przy zwierzętach padłych z choroby nie zaraźliwej. Rozkład w lecie następuje szybko w skutek działania ciepłego powietrza, a mięso takie pożarte zakaża krew. Nawet świnie podlegają takiej chorobie, gdy się im pozwala żreć padlinę w rozkładzie z nieuwagi lub oszczędności. Sądzę, iż trychiny powstają w skutek działania owego jadu trupiego. Na szczęście nasi hodowcy trzody i rzeźnicy nie doszli jeszcze do tego szczytu przemyślnej spekulacyi, jak Prusacy, aby karmiąc rozkładającą się padliną trzodę, zabijać rozmyślnie swoich współbraci. Do jakiego stopnia taka padlina jest szkodliwą, świadczy najlepiej, że mucha nassawszy się krwi jej, gdy zwierzę lub człowieka ukłuje, wnet tworzy się rana trudna do zagojenia, a często nawet śmierć sprowadzająca.

Po ukończeniu łowów można chartowi co do okrasy i nawary do połowy zmniejszyć racyę, a nawet ująć ją zupełnie. W jesieni i zimie podczas trwania łowów powinno się chartom dawać jeść wieczorem, na wiosnę zaś i w lecie rano. Na polowanie wyjeżdża się zwykle rano, psy więc dobrze nakarmione rano nie mogłyby ścigać, przeciwnie wieczorem, idą do legowisk i spoczywają po trudach, a nad rankiem *wyharowawszy*, stają się zdolne do powtórnego wyruszenia na polowanie. W porze, w której się nie poluje, podawaną bywa strawa rano już z tego powodu, aby chart najedzony, a więc ociężalszy nie uczuł chętki do kłusownictwa, czem się chętnie bawią psy głodzone. Głód jest podnietą do zbrodni nie tylko u zwierząt, ale często nawet u ludzi, lis łaknący pastwy, mimo wrodzonej trwożliwej ostrożności, wpada do zagrody domowej i porywa drób w oczach ludzi i psów domowych, wilk owcę, nawet okładany kosturem przez owczarza lub szarpany przez psy — toż i chart głodny idzie po żer w pole, ale różni się od swych dzikich współplemieńców tem, że żeruje tylko przy świetle dziennem. Gdy mu się raz taka wyprawa poszczęści, często ją powtarza, w końcu staje się nałogowym kłusownikiem. Wtedy już nic innego uczynić nie wypada, jak przypiąć go do łańcuszka lub na drążku, sznur bowiem choćby najgrubszy i najmocniejszy przegryzie, i ucieczce. Miejscem takiego aresztu powinna być obszerna, chłodna komórka, często czyszczona, a takim psom zamkniętym często świeżej wody podawać trzeba. Na noc można je wypuszczać bez obawy, bo jak długo ciemno, najzawziętszy kłusownik na łowy nie wyruszy, to też skoro świt, zamykać je znowu należy, w przeciwnym razie umkną w pole, i narobią szkody. Trudno sobie wyobrazić, jakim szko-

dnikiem w zwierzostanie jest chart kłusownik. Głodny złapie zająca, i pożre go, syty rusza dla przyjemności, na wydeptanego, kot gracz umknie mu, ale kotna samica nie zdoła ujść jego pogoni, doścignie ją, zdusi, porzuci i rusza dalej po łup dla igraszki. Dobrym jest gdzieniegdzie zwyczajem, którego i sam używałem, przywiązywać chartom dosyć długie i ciężkie, niezbyt grube kije grabowe lub dębowe. Drążki te zawadzając psom i tłukąc je po nogach przy każdym szybszym ruchu, oduczają charty kłusownictwa najlepiej. Taki hamulec przymocowuje się do kółka obróżki nie sznurkiem, lecz łańcuszkiem, a dla czego, niech wyjaśni następujące zdarzenie, świadczące o przemyślności charciej a o mojej ówczesnej nieporadności. Charty moje, których miałem cztery, zaczęły bawić się kłusownictwem. Chcąc je od tego odzwyczaić, przywiązałem wyżej wskazany hamulec mocnym sznurkiem do kółka obróży. Pewny, że zaradziłem złemu, pojechałem w pole do gospodarstwa. W tem widzę moje charty ścigające zająca w najlepsze. Sypnąwszy mu kilka obrotów wzięły go tuż przy łanie zielonego owsa. Gonię co tchu, obłudnie udając łagodność, zwołuję rozpierzchłe po mojem przybyciu psy, i wracam z nimi do domu. Zły jak sto djabłów, sądziłem, że ktoś, a może kucharka, wielka psów protektorka, litując się nad swemi, jak mówiła, kochanemi sobaczkami, i gorzkie łzy wylewając, gdy im hamulec przywiązywano, litością powodowana, pozdejmowała im owe drążki. Ha! stało się, trzeba ponownie przywiązać hamulec, ale gdzie go szukać, po chwili spostrzegłem wszystkie cztery kije leżące przy legowisku chartów, w szopce koło wozowni. Połowa sznurków wisiała u drążków, druga zaś połowa trzymała się jeszcze kółek obróży. Byłem przekonany, że sznurki ucięte były nożem. Było jeszcze daleko do zachodu słońca, kazałem powtórnie sznurkami poprzywiązywać hamulec. Psy zbite z kontenansu poszły na swoje legowisko do szopki. Po niedługiej chwili widzę chodzącego po dziedzińcu jednego charta bez hamulca. Spodziewając się złapać na gorącym uczynku psotnika człowieka, podkradam się pod szopkę, zaglądam, i spostrzegam, jak charty jeden drugiemu przegryzały sznurek, bo same sobie tego uczynić nie mogły. Czyż to nie dowód pewnego stopnia intelligencyi u zwierząt, czyż nie porozumiały się z sobą celem udzielania wzajemnej pomocy. Zaprawdę wszystkie stworzenia, nie wyłączając nawet skorupiaków, miękczaków obdarzone są pewną władzą umysłową, i wzajem się rozumieją. Służy im do tego głos z pewnemi dla nich tylko zrozumiałemi modulacyami, skorupiakom dotykanie się wzajemne różkami — czujnikami. Człowiek z wyżyn swego moralnego majestatu nie dopuszcza rozumu u zwierząt, czyliż on już przeniknął wszelkie tajemnice przyrody? Rozum chroni go od niebezpieczeństwa, a cóż jest tarczą od niego dla zwierzęcia? Instynkt, zmysł zachowawczy, a czemżeż to jest, jeżeli nie pewnym stopniem rozumu? Zarzuci mi kto, iż nic nie ma w tem dziwnego, że zwierzę gonione przez psy lub człowieka, umyka lub chroni się w kryjówkę, wszakże ono także upędza się za łupem! Lecz któż każe niedźwiedziomi, wilkowi lub lisowi niedotykać nastawionych a zamaskowanych powabną przynętą samołówek, wszakże takich samołówek jedno zwierzę dla drugiego nie nastawia! Obserwowałem konie artyleryi lub kawaleryi. Na manewrach, pełnych zawsze wrzawy, huku dział, ślepymi nabitych ładunkami, stoją najspokojniej w pobliżu odprzodkowanych dział. Z jakiejże przyczyny w bitwie huk dział, strzały karabinowe, do których są przyzwyczajone, sprawiają u nich drzenie febryczne i niespokój? Umiejąż rozróżnić prawdziwą bitwę od fałszywej? Któż ich przestrzegł, że lufy dział i karabinów, ostrymi nabite ładunkami, niosą śmierć człowiekowi i im? Instynkt, zmysł zachowawczy! Nie! to nie mechanizm intellektualny, to spory zapas intelligencyi samej. Zwierzętom przypisujemy cierpienia fizyczne — cierpią one i moralnie. Obrażone w miłości rodzicielskiej, żalą się, tęsknią do wolności, mimo dobrej strawy i wygodnego legowiska uciekają do swego pana choćby nie bardzo łagodnego, oburzają się wyrządzoną im niesprawiedliwością i t. d. Dosyć przytoczyć jako przykład psa i konia. Ileż to razy się zdarzyło, że jeden lub drugi w żałośnym nastroju duszy nie opuścił mogiły swego pana — nawet aż do skonu. Czyż to instynkt? A gdzież w takim razie zmysł zachowawczy? Zaprawdę, nie rychło jeszcze człowiek z całym swoim ogromem dzisiejszej wiedzy, przeniknie tajniki natury! — Nauczony doświadczeniem, zaraz nazajutrz przymocowałem hamulce łańcuszkiem do obróżek. Trzeba było wtedy widzieć miny skonfundowane owych czworonożnych kłusowników. Żaden rekrut kawaleryi nie obraca się tak pociesznie i niezgrabnie, przypasany do szabli, jak moje charty z owymi kijami. Próbowały odgryść łańcuszek — jakoś to nie szło, a trzeba dodać, iż każde zwierzę, chyba owładniętę wścieklizną, chwyta ze wstrętem i tylko z konieczności żelazo lub jakikolwiek metal. Próbowały odgryzać drążki — i to się nie powiodło. Kilka dni wyprawiały z kijami pocieszne hece, wreszcie przywykły do nich, i przestały być kłusownikami. Nadmienię w końcu, iż żaden pies nie wyniszczy tyle zwierzyny, ile chart. Ogar, gończy, legawiec nieudolni w polu, wytropiwszy zapędzą w las, a tam trudna rada, chart zaś tak długo milczkiem *nypie*, dokąd nie złowi. Pięć zajęcy mu ucieknie, on nie daje za wygranę, szóstego szuka, trafi na kotną zajęczycę, złapie i udusi naraz kilka

Mamy już tedy charty wychowane i pielęgnowane starannie i umiejętnie, więc łaskawy czytelniku dosiadajmy koni, i dalejże w pole na *wydeptanego* lub *upatrzonego* czyli *hecowanego*, bo już ja stary charciarz inaczej szukać zwierzyny nie umiem. Gdzież można *na pewniaka* znaleść zająca w jesieni? Bardzo to względne, zależy od gatunku gleby, która ma stanowić *pole do poszczucia*, zależy też od tego, czy jesień jest mokrą lub suchą. Podczas suchej jesieni przesiaduje tam, gdzie mu jego rozum, ha! niech będzie zmysł zachowawczy wskazuje bezpieczne od napaści schronienie. Najchętniej w krzakach, małych laskach, okolonych polami, bo już one dobrze zarunione oziminą, dostarczającą mu obfitego i smacznego żeru, po który zbyt daleko trudzić się nie potrzebuje. Po zachodzie słońca, gdy się już ściemnia, wyrusza z kotliny, i kicając dąży na żerowisko. Pożywiwszy się do syta, naigrawszy i trochę poborykawszy z towarzyszem, co czyni podobnie jak kot łapkami, a również jak kot pryska czyli *czmyszy*, jeżeli podczas żerowania nie był spłoszony, wraca do swej kotliny z brzaskiem dnia. Spłoszony co tchu umyka nieraz wcale daleko, obierając sobie inne miejsce na dzienną siedzibę, którą znowu wieczorem opuszcza, ale już do niej nie powraca. Lgnie on zawsze do swej pierwotnej kotliny, niezbyt zwykle oddalonej od miejsca jego urodzenia czyli gniazda. Aż do pory *parkoci* mają zające zwyczaj tak młode, jak i stare grzebać osobne kotliny, w niewielkiem oddaleniu od gniazda i od siebie, tworząc w ten sposób pewien rodzaj osady. Towarzyskość ta trwa tylko do czasu *parkoci*. Rozbudzony popęd płciowy rozprzęga węzły rodzinne. Samcy często kilka mil w nocy upędzają się za samicą, a goniących ją *gachów* bywa czasem kilku. — W jaki sposób zając żeruje, miałem sposobność nieraz naocznie się przekonać. Posiadając niewielki lasek, strzegłem go też jak oka w głowie, a mimo tego złodzieje piłką, dla uniknienia hałasu przy rąbaniu siekierą ścinali mi dębczaki i graby. Chcąc

ich na gorącym złapać uczynku, udałem się wieczorem sam jeden do lasku. Ukrywszy się starannie w gąszczu u samego brzegu, czekałem na psotnika, który tym razem nie przyszedł. Noc była pogodna i ciepła, księżyc w pełni rozsyłał światło niemal dzienne, a ja mając wzrok zdrowy, mogłem rozróżniać wszelkie przedmioty na kroków kilkadziesiąt. Nie żałowałem trudu daremnego pod względem przytrzymania szkodnika. Noc ta przebyta śród nocnej ciszy pozostanie mi w pamięci, woń drzew kwitnących, spiew słowików, brzęk chrząszczów podobny do szumu drzew, gdy niemi lekki wiatr porusza, napawały mnie rozkoszą, a tajemniczość szerząca się w około mnie skłaniała do marzeń. Lasek położony śród pól, był jakoby zwierzyńcem pełnym zajęcy, poryty gdzieniegdzie norami lisów i borsuków, których tu także było nie mało. Przy krzakach rozlegał się spory łan ozimej pszenicy. Ukryty w gąszczu, widziałem dużego borsuka, jak powoli krocząc przelazł rów i począł żerować na oziminie w odmienny jak lis sposób, nie grzebał łapami, lecz ryj wetknąwszy w otwór mysiej jamy, rozorał ją w całej długości, a trud jego nie był podobno próżny, słyszałem bowiem wyraźny pisk mysi. Żerował już z pół godziny, gdy nadszedł drugi borsuk. Musiały to być dwa samce, gdyż przybyły, skoro się zbliżył do swego towarzysza, podniósł się na zadnich łapach, a przedniemi uzbrojonemi w długie i ostre pazury ugodził go w oczy. Rozpoczęła się zażarta walka, oba borsuki posiadały na zadzie, i drapały się pazurami nawzajem, wydając przytem z siebie głos chrypliwy. Szczeć zjeżyła się na nich, a zajadały się tak zaciekle, iż niezawodnie można było ich podejść, i jak psy zażerające się za karki pochwycić. Jeden z nich utknąwszy czy zachwiawszy się padł, a przeciwnik w tejże chwili rzucił się na niego i gryzł zębami. Wreszcie krzyknąłem: a dość! Jakby ukropem sparzeni zerwali się i pomknęli w las. Postanowiłem już całą noc poświęcić obserwacyom, więc pozostałem na czatach, a zachęciła mnie do tego owa walka borsuków i sposób ich żerowania. Nie myśląc już o ludziach szkodnikach, pożądałem tylko równie ciekawego, jak poprzedni widoku. Jakoż pod tym względem noc owa była dla mnie szczęśliwą. W godzinę może, dążąc już widocznie ku lasowi, nadbiegły dwa zające. Poczęły igrać z sobą, jeden uciekał, drugi go gonił, co chwila to zjawiały się, to nikły w oddali, a ciągle w szalonych poskokach i *kominkach*, to siadały jak zwykle w kotlinach, to znów rozpędziwszy się przeciw sobie, przeskakiwały się nawzajem. Lubo zajęte igraszką okazywały jednak zawsze jakąś płochliwą ostrożność, co chwila bowiem odwracając się i *zakałkowawszy*, nasłuchiwały o jednym, to drugim *słuchem*, to obydwoma.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WSPOMNIENIA
Z ŁOWÓW NA DZIKI

PRZEZ

KAZIMIERZA Hr. WODZICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

W bagnistym lesie Bielcza, w Samborskim obwodzie śród kępin, młak, czarnych wierzb, przeplatanych chmielem, zarosłych pokrzywami i trzcinami w znacznej liczbie żyły czyli zimowały dziki w tych fortecach niebezpiecznych dla myśliwych, a jeszcze niebezpieczniejszych dla walecznych psów, gdyż dziki pruły gąszczami tymi bez wysilenia, kundysy za do gęstych krzaków przyciśnięte, czekać musiały na śmiertelne razy. W tych to lasach straciłem kilkanaście psiarni, i rzadko kiedy z polowania powracałem z psami, tam też u szwaba założyłem szpital dla mych rannych towarzyszy. W tym rewirze miały dziki inne zwyczaje, weksle i ruchy. Często na miękkim śniegu można było polować na pomkniętego dzika, tak dotrzymywały w barłogach lub w kopicach siana. Dwa razy mi się zdarzyło podejść i podjechać dzika na 10 kroków. Raz idąc za postrzelonym warchlakiem bez psów, pomknął odyniec jak zając przedemną, śrótem go można było zabić, lecz zaskoczył mi za gąszcz czarnej wierzby, i straciłem go z oczów. Drugi raz tropiąc na koniu dosyć hałaśliwie z powodu skorupy śniegu, najechałem na kopiec siana, niebo się zaciemniło, koń ze mną do gąszczu wskoczył, strzelba w głowę uderzyła, sznurki trąbki i zarękawka się pomotały, czapka na oczy się zesunęła, jednem słowem wszystkie nieszczęścia myśliwskie na mnie spadły, a gdy nieśmiały wzrok rzuciłem na kopiec z pod czapki, spostrzegłem jeszcze sianem okrytego, olbrzymiego odyńca, kłapiącego zębami i tupającego przedniemi nogami ze skręconym w obwarzanek ogonkiem, ze srogiem wejrzeniem i złowrogiem fukaniem. Bóg strzegł sługę swego na łasce odyńca będącego i w niepospolitym strachu, bo przeraziwszy mnie aż do gorączkowego stanu jakoteż mojego konia trzęsącego się jakby w febrze, ruszył wolnym krokiem otrzęsając siano z swego wspaniałego grzbietu. — W tym dla mnie pamiętnym dniu poszedłem z trzema psami do barłogu za tropami stada, i zanim zdołałem puścić tropowca, wyskoczyła stara samura i pięć dosyć rosłych warchlaków, stanęła, i groźnie na mnie patrzała przez ciemną młakę. Ledwie zdołałem puścić jednego psa, łańcuchy innych mnie otoczyły, i spętały, a psiarczyk chcący ratować powalił mnie z nóg. Po tej arcyniemiłej katastrofie wleczony przez psy, dźwignąłem się nareszcie, i z niemałem zdziwieniem ujrzałem samurę na tem samem miejscu najeżoną i broniącą walecznie swe dzieci przeciw jednemu psu. Z powodu gąszczu nie można było strzelić, należało rozjuszoną świnię z fortecy wypędzić, puściłem więc psy, ale ona uderzała bez najmniejszej trwogi na kundysy, powracała do warchląt, szeregowała je za sobą, ciałem swem od napaści psów zakrywała, i znowu gwałtownemi szarżami rozganiała moich odważnych pomocników. Taka była rozwścieklona, że za nogę przednią pochwyciła psa, i taki mu dotkliwy cios zadała, że skowycząc na trzech nogach do mnie przybiegł, i już do atakowania nie dał się nakłonić. Uważałem to wielokrotnie, że cięcia rozjuszają psy i wcale nie zniechęcają, przeciwnie zaś deptanie, szturkanie i kąsanie odejmuje psom odwagę. Śliczna to była dla myśliwego dekoracya: Jakby za zasłoną z gazu stała najeżona samura, z czubem na głowie, z pianą w ryju, z ogonkiem zwiniętym i trzęsącym, nogami tupała, zębami kłapała rzucając się na psy z impetem i powracając w tejże chwili do warchlaków, do których rechtała i porządkowała je. Napatrzywszy się do syta na tę scenę, postanowiłem wyzwać tę znakomitą matkę osobiście do walki, począłem się więc ostrożnie przedzierać przez gęste krzaki czarnej wierzby, i zbliżyłem się do niej na kilka kroków, lecz gęste i giętkie gałęzie otaczające mnie, nie dopuściły strzału. Dwa pozostałe psy zachęcone moją obecnością, skoczyły na samurę, lecz ona pomimo srogiego ataku, poznała doskonale swoją sytuacyę i niebezpieczeństwo, nie uderzyła więc na psy, lecz wpatrzywszy się we mnie przez kilka sekund, pędem błyskawicy skoczyła na młakę, w której stałem. Widocznie i dla niej była młaka za gęstą, i gąszczu tego przebić nie mogła, gałęzie bowiem zatrzymały

ją na kilka stóp odemnie. Nie łatwo sobie wyobrazić usposobienie zapalonego myśliwego wobec dzika w takiej odległości, nie mogącego strzelić. Położenie, przyzna każdy, nie do pozazdroszczenia! Byłem w niemocy, bezbronny wobec rozjuszonego dzika, stan taki rzeczy musiał się rychło zmienić. Samura szarpana przez psy, wycofała się z krzaków, psy odgoniła, spędziła warchlaki do kupy, narechtała im instrukcye, i kłusem puściła się w las z dziećmi w porządku za nią kroczącemi. Wydobywszy się z tej piekielnej młaki, uspokoiwszy dosyć rozigrane nerwy i rozgorączkowaną krew, poszedłem za tropami, albowiem widocznie szukała teraz w szybkiej ucieczce dla siebie i dzieci ratunku, a głos psów już moich uszów nie dochodził. Uszedłszy ćwierć mili, usłyszałem upragnioną muzykę i to na jednem miejscu, Dotarłszy do miejsca walki zobaczyłem w rzadkiej, młodej brzezinie stojącą samurę, za nią zakryte warchlaki, a psy naszczekujące z przodu. Dziwny to i ciekawy epizod. Pragnąłem ubić jedno lub dwoje warchląt, więc kilkakroć razy obchodziłem tę rodzinę, aby do młodych strzelić, lecz matka już wcale nie zważając na dokuczające jej psy, z oka mnie nie spuszczała, i w miarę postępującej mej postaci obracała się, kryjąc swem ciałem warchlaki, a gdy do koła obszedłem, ona stanęła na tem samem miejscu, gdzie ją zastałem. Powtórzyliśmy ten manewr dwa razy z tym samym skutkiem, wreszcie musiałem zabić tę arcyprzykładną matkę, niedającą sobie zabrać dziecięcia. Ta podziwienia godna samura, widząc we mnie jedynego, istotnie niebezpiecznego wroga, znosiła cierpliwie zęby psów, na mnie nie szarżowała, i zginęła dając dowody prawdziwego poświęcenia macierzyńskiego.

W r. 1858 już w Marcu zawitała do nas wiosna, skowronki wzbijając się pod sklepienia niebios, zwiastowały nam odrodzenie przyrody, krzewy pokryły się zielonością, iwy i osiki powypuszczały ozdobne kitki, leszczyna swe karminowe strzały. Sowy już się pisklętami cieszyły, dzięciołów samice dosiadywały jaj, kruki młodym pożywienie donosiły, ciężkie wrony po zaręczynach, ruchliwe sikorki w konkurach, a na bagnach i stawach gwar, pisk i rozpusta. W całej przyrodzie jedna myśl dziękczynna, jedno rozkoszne westchnienie, jedna radość, bo to koniec lodowatego grobu. Któż w takiej porze pod dachem usiedzi, kogo ten magnes przyrody nie pociągnie do woni balsamicznej i do tego tak przez nas upragnionego odrodzenia. Wezwałem mego towarzysza, przywołaliśmy wyżły i ruszyliśmy szukać słonek. Doszliśmy do brzezinki łaciastej, i każdy poszedł w swoją stronę, a po kilku godzinach nie słysząc ni strzału ni głosu mego towarzysza, począłem hopkać i szukać. Zastałem go leżącego pod brzozą ledwie żyjącego, a na moje zapytanie opowiedział słabym głosem następną katastrofę. Wiekopomny Parol, jego nieodstępny wyżeł, spotkawszy w gąszczyku samurę z warchlakami, jednego złapał i począł uciekać. Matka rozwścieklona odebrała dziecię, lecz chcąc się zemścić na psie poczęła go ścigać, i pomimo zręcznych obrotów mało nie pożarła znakomitego psa. Parol, geniusz psi, pędem skoczył między nogi swego pana, i z tyłu przywarował, samura widząc innego wroga rzuciła się na mego towarzysza, lecz tenże zręcznym skokiem dosięgnął brzozy, a Parol widząc zdobytą fortecę umknął. Czyby kto uwierzył, że ta rozzłoszczona matka przez dwadzieścia minut gryzła korę, tupała nogami i pieniła się, a Parol uznał za konieczne swego pana nie bronić, lecz w oddaleniu bezpiecznem czekać na koniec tego dramatu. Na szczęście sprzykrzyło się samurze bezskuteczne atakowanie, mój towarzysz bowiem z kurczem w nogach byłby już na brzozie ani pięciu minut nie wytrzymał. Ona zabrawszy dziatwę uszła a biedak myśliwy spadł na ziemię bezwładny zupełnie.

V.

Gadki o wycinkach, opisy tychże zaostrzyły moją ciekawość, więc badałem, pytałem i szukałem wiadomości o tej antiprzyrodowej operacyi, zamierzam więc podzielić się ową skąpą zdobyczą z mymi czytelnikami. Z najdawniejszych czasów myśliwstwa naszego mamy opisy wycinków, czyli dzikich wieprzów przez odyńców wykastrowanych. Jak się dziki broniły za Jagiellonów, wiedzieć nie mogę, dziś zaś wiem, że zady swe bronią z przezornością i ostrożnością, i z tego powodu rzadko kiedy odyniec traci cechę swej męskości. Widziałem poranione dziki i popłatane jak połcie słoniny przez drugie dziki, cięciami zabite, z wnętrznościami wypuszczonemi, a przez całe życie moje spotkałem jedynie trzy odyńce z wyciętymi lub przeciętymi cynadrami, a nie mało ich przedemną leżało. Polując z psami, uważałem zawsze w walce odwrócone zady lub do drzew przyparte, ten sam proceder odbywa się w walce między sobą. Nie często badać mogłem te zacięte boje, tak zajmujące a straszne, wszakże kilka widziałem, i zawsze ryjami przeciw sobie stały lub na połeć, cięcia zadawane były po przodzie lub po bokach, a nie pamiętam ran na zadzie lub szynkach. Tak się boją tych ran, że szybkie zwroty robią, jakby piruety na miejscu, niekiedy w skoku się zwracają, widocznie towarzyszy im myśl bronienia zadów. Zdarza się i zdarzać musi, że na weselu cięcia zadawane bywają w niebezpieczne miejsce, lecz nie przez walczących z sobą, lecz przez asystujących. W chwili hukania bywa kilka i kilkanaście odyńców razem, jeden wywalczy sobie wyłącznie samurę, wszystkie rozjątrzone, rozgorączkowane, chciwe walki. I tak dwóch z sobą walczy, a trzeci i czwarty pędem przebiega koło bojowników i razy zadaje, lub podchodzi zdradziecko i kłem rany robi głębokie. Dzik tak na kule, jak i na cięcia twardy i wytrwały, częstokroć kilkanaście otrzyma, a jednak staje do dalszej walki, to znowu pokiereszowany i zbroczony zdobywa samurę, i z ranami sączącemi odpędziwszy współzawodników uprowadza ją i korzysta w pełni ze swego zwycięstwa. Dopiero gdy rany wywołują gorączkę i poczyna się ropienie, wtedy traci odwagę, butę, chęć do natarczywości, zakopuje się w śniegi, przewraca się z jednej na drugą stronę, i leczy rany kompresami śnieżnymi. Wtedyto rzadko kiedy staje do walki z psami, lecz uchodzi, szukając ratunku w ucieczce, co późniejszy opis potwierdza, co też uważałem kilkakrotnie. Odyniec leniwo idący przed naganką i zabity celnym strzałem wymierzonym w głowę, miał trzy cięcia w cynadrach, które już były w stanie zgniłego ropienia, wydającego fetor nie do opisania, drugi miał tylko jedno jądro zdrowe, widocznie drugie wyciekło, a rana się zagoiła, trzeci lekkie i nieszkodliwe rany, jednego zaś dwuletniego widziałem bez cynadrów. Czy się bez tychże urodził, czy też w walce stracił, orzec nie mogę, bo ani blizny, ani znaku cięcia nie miał. Jak się działo dawniej, że praojcowie nasi widywali wycinki i ubijali je, że nawet za mego życia opowiadali mi o wycinkach sędziwi myśliwi, wytłumaczyć sobie nie mogę. Ja tylko nader skąpe zebrałem wiadomości o tem kalectwie, byłoby więc pożądanem, żeby nasi myśliwi podawali do „Łowca“ swe spostrzeżenia w tym względzie.

Znałem leśnego czyli pobereżnika odwiecznego, on sam i ludzie gromady nie umieli oznaczyć jego wieku, istny dąb — człowiek. Rosły, barczysty, z podciętym wąsem, podgoloną czupryną, nieco wiekiem pochylony, z siwymi włosami i głęboko w twarzy wrytemi zmarszczkami. Małomowny, z wyrazistemi oczami, z żywą mimiką, z fajeczką w ustach, był unikatem śród tropicielów, nigdy bowiem strzelby do rąk nie brał, a tropił z powołania nawet wtedy, gdy nie polowano.

Skromny w swych potrzebach, trzeźwy, mieszkał w małej chacie w lesie, oddalonej od wsi, stronił od ludzi, i ledwie dwa razy do roku bywał na jarmarku, pokochał las, cieszył się zwierzyną, prześladował drapieżne zwierzęta żelazami i dołami, miał różne łapki, i wiedział dokładnie, gdzie i kiedy jaki zwierz przebywa. Ta ciekawa leśna postać nigdy nie dała się skusić do opowiadania o dawnych czasach, o dawnych dziedzicach, wychowała dwóch synów rosłych drągali, lecz nienadała im nawet cząsteczki swego typowego usposobienia, ani zaszczepiła żyłki myśliwskiej. Choćby sam cesarz do niego mówił, byłby czapki nie zdjął, ani fajki z ust nie wyjął, na powitanie odpowiadał kiwnieniem głowy i lekkiem uchyleniem czapki, poczem z cybuszkiem w zębach stał milczący. Otóż owa postać zagadkowa, istny Sylwan, przyciągała mnie do siebie, i zawsze z pewnem wzruszeniem cieszyłem się na spotkanie z nim. Do tego wszystkiego dziwnie był dla grosza obojętnym, czy dostał pięć reńskich, czy jednego, zawsze z tym samym wyrazem obojętności kiwnął głową, schował pieniądz do kieszeni milcząc upornie. Opowiadano, że ongi służył w możnym dworze za łowczego, że pochodzi z dawnej szlachty chodaczkowej, że miał w życiu różne przeprawy, i przygody, lecz nikt nie umiał wymienić szczegółów, a on sam zbywał nas zawsze temi słowy: „Nie ma o czem mówić“. W okolicy nazywano go Stefanem. Otóż Stefan, gdyśmy na miejsce zboru przybyli, przybliżył się do mnie, i kiwnąwszy głową powiedział: „Jest proszę pana, lecz smutny, słaby i goły“. — „Jakto goły?“ — „Goły jak jałówka“. — „Jakże ty to wiesz, jakże potrafiłeś go zejść, aby mu się z bliska przypatrzyć?“ — „Wczoraj gdy wieczorem obchodziłem las, zobaczyłem bydlę kroczące przez pole, schowałem się za dęba i przekonałem się, że to duży dzik idzie, pokłapywał zębami i pienił się, wszedł do gąszczu i dziś nie wyszedł, nawet ścieżki nie przekroczył. On tu w tym gąszczyku grabowym leży, i psów nie potrzeba puszczać, bo on bardzo zły, a my go sami wygonimy“. — Z Stefanem nie było dyskussyi ani targów, trzeba było według jego woli działać, w przeciwnym razie zaraz się uchylał i znikał z oczów. Było strzelców czterech, Stefan wskazał nam stanowiska, sam zaś zabrawszy kilku naganiaczy, poszedł na dół pod miot. Pod nami grabina, gąszcz nie dozwalający przystępu, przed nami pola bielą okryte w ramach leśnych, za nami ogrom lasów bez końca i granic, z suchymi i bagnistymi jarami. Staliśmy na wąskiej ścieżce, ja zaś na samym brzegu zrębu. Przywiązawszy konia do krzaka w braku drzewa lub gałęzi, stanąłem i usłyszałem znane mi świstanie Stefana, a niebawem ujrzałem go wychodzącego z gąszczu. „Jakto, nie wyszedł?“ — „Nie wyszedł“ — odpowiedziałem. Stefan był nieomylny, więc łatwo sobie wytłumaczyć jego zdziwienie, kiwnął na chłopców, i przeszedł koło mnie mówiąc: „On idzie z wesela zmęczony, może i cięty, pójdę go z barłogu wyruszyć“. — Po chwili słyszę: „a pójdziesz ztąd, husz! husz! pilnuj dzika!“ i widzę odyńca wolno kroczącego na mego sąsiada, który go za siebie puszcza, i w gąszcz strzela. Ja wołam: „puszczaj psy!“ dosiadam konia, i pędzę na trop, ostygam wszakże w zapale, gdyż widzę na tropie jakby płucną krew, a z wysokości konia trudno było dopatrzyć jakości farby. Nie lubię dobijać cudzego zwierza i jechać za postrzelonym przez drugiego, lecz więcej koni nie było, odyniec mógł mi wyciąć wszystkie psy, musiałem przeto rozpocząć nader męczącą pogoń. Te lasy bez linii z zarosłemi drożynkami, poprzerzynane parowami, naszpikowane gąszczami, przedstawiły jeźdźcowi wiele przeszkód nader dokuczliwych. Odyniec wolno wprawdzie postępował, lecz się trzymał młodników, i z nich nie wychodził, często słyszałem naszczekiwanie na miejscu, lecz z przyczyny niedostępnych gąszczów nie mogłem zbliżyć się. Dzik coraz bardziej się oddalał, ja zaś nad miarę już zmęczony prułem powoli te niedostępne zręby. Już słońce usuwało się z firmamentu, a jeszcze nie mogłem znaleść drożynki lub ścieżki, aby pospieszyć i wydobyć się z tych zaczarowanych i wcale mi nie znanych lasów, ujechałem bowiem najmniej dwie mile przez kilka godzin, wreszcie usłyszałem ujadanie psów, i po chwili stanąłem wobec zaciętej walki. Podemną w dole źródlisko, poza niem wyprute, głębokie łożysko zapełnione wodą, naprzeciw domostwa zacienione wierzbami i bzami, dalej stożkowata kupa gnoju i śmieci, a na niej bielejące skorupy z potłuczonych naczyń, na boku kilkanaście odwiecznych guzowatych buków, a o jeden z nich był zadem oparty odyniec, w koło niego rozżarte psy, próbujące wyprzeć dzika z fortecy i zad mu dalej zębami obrabiać. Pomimo głosu psów spojrzał na mnie odyniec i nasrożył się, oddalenie nie dozwoliło mi strzelić, a przedemną była stroma ściana. Opatrzywszy dokładnie buka, pod którym zwierz stał, aby plan podkradania się ułożyć, zwróciłem konia, objechałem kilkaset kroków, zsiadłem i począłem do tego buka podchodzić. Jakież było moje zadziwienie, gdy stanąłem niedaleko buka i zobaczyłem tańcujące psy, ale bez odyńca. Podsuwam się ostrożnie, staję śród psów i jeszcze dzika nie widzę, posuwam się więc dalej, wreszcie dostrzegam go, ale tak strasznym mi się ten potwór wydał, że zadrzałem i skoczyłem w tył. Dzik nieznanych rozmiarów, gliną oblepiony siedział w łożysku, z krwawem spojrzeniem i pianą w ryju, widocznie już nad miarę zmęczony i nie zdolny do dalszej walki. Nieuważałem, że między mymi psami szczekały dwa małe pieski. Wtem jawi się kobieta dobrej tuszy, w trzewikach na gołych nogach w koszuli i spódnicy, z chustką na krzyż zawiązaną pomimo piekielnego mrozu, z czarnymi rozczochranymi włosami, gdyby Sybilla, i poczyna mnie łająć i kląć najżelżywszemi słowami, nie dozwalając mi słowa przemówić. W nadziei, że język się znuży, gardło wyschnie i szczęki omdleją, wziąłem pręcik i począłem odpędzać psy, a może się też i faworytom tej pani dostało jakie uderzenie, bo wzmogła się wściekłość tej czarownicy. Podparła boki rękami, i na nowo recytowała bogaty wokabularz przekleństw, podnosząc głos do najwyższego diapozanu, a ja pokornie słuchałem, i więcej nie zdołałem wypowiedzieć, jak: proszę pani. Żadna *femme de la halle* w Paryżu, żadna przekupka z pod sukiennic krakowskich nie mogła się mierzyć z tą wymową, ani z tą siłą głosu, a co jeszcze ciekawszego, że ta kaskada obelg już na mnie padała od pół godziny, i ani moje milczenie, ani moja pokora nie zdołały rozbroić rozwścieklonej baby, aż nareszcie moi towarzysze nadeszli, i powiedzieli, kto jestem. Wtedy ona podparłszy się raz jeszcze powiedziała: „To przepraszam“, zawołała na pieski, i na kształt posągu pozostała na wyżej wymienionej kupie, na której, jak się zdaje, królowała. — Stefan zbliżył się do mnie, i szepnął: „Nie prawdaż, że goły?“ Rzeczywiście odyniec był zupełnie goły z wytartą szerścią na całem ciele, ledwie na grzbiecie i między uszami sterczało kilka szczecin, był również zmęczony i chory, widocznie powracał z wesela, które mu nie posłużyło. Rozpoczęła się nasza praca Danaid z dzikiem, którego w dziesięciu z koryta wydobyć nie mogliśmy, a fetor wydobywający się z niego, nudności nam sprawiał. Nareszcie za pomocą sznurów wydobyliśmy zupełnie gliną oblepionego potwora, ułożyli z wielkiem wysileniem na saniach, i pojechali do leśniczówki. Widocznie ten dzik nie miał ani odwagi ani siły do obrony, żadnego psa w czasie kilkogodzinnej pogoni nie ciął, szedł gąszczami wolno, a w grubszym lesie opierał się o drzewa,

wreszcie chcąc się zabezpieczyć, wskoczył do łożyska źródła, aby się ochłodzić, trzymając łeb z kłami w gotowości do obrony po nad brzegami koryta. Trudno oznaczyć dalsze plany tego odyńca, byłby musiał przejść koło ogrodu wymownej Diany, dalej przez trakt publiczny dosyć uczęszczany, aby się dostać do większych lasów, lub też byłby tropem wracał do swego barłogu w gęstym grabniku, gdzieby rozpoczął kuracyę ciężkiej choroby spowodowanej rozpustą i rozhukanemi chuciami, ale kula moja za uchem położyła koniec tym zamiarom. — Nazajutrz rano budzi mnie strzelec, mówiąc, że nam dzika na saniach pokrajano. Nie mało zdziwiony pytam, czy go zdjęto i powrozy rozwiązano, odpowiada, że nie i że dzik leży na saniach tak, jakeśmy go w nocy zostawili. Ubrałem się i poszliśmy wszyscy *in gremio* oglądać odyńca i szukać pierwszej kuli. Wstręt wzbudzało to zwierzę zamarźnięte z przymrużonemi oczami, z krótkimi, wyszlifowanymi kłami koloru orzechowego — ów rozpustny starzec po śmierci. Siedmnaście ran odkryliśmy i narachowali, a nie jedna uszła naszej baczności. Z ran tych sączyła się żółta woda i cuchnąca materya, niektóre były głębokie, a na 6 do 10 centimetrów szerokie, można było w każdą palec włożyć, najwięcej ich było po słabiznach i na żebrach, kilka na szynkach. Musiał on walczyć z niepospolitemi szablami, sam zaś tylko płytkie cięcia zadawać krótkimi i zużytymi kłami, i widocznie ustąpił z placu walki w skutek zupełnego wysilenia. Pokazało się, że oprócz kuli za uchem, nie miał żadnej innej. Sąsiad mój wcale go chybił, a płucna farba, którą znaczył swój trop, była sączącą się z ran materyą. Musieliśmy ten rzadki okaz zostawić, fetor bowiem wychodzący z odyńca zatruwał powietrze pomimo silnego mrozu Rany te są świadectwem niezmiernej zaciętości w walce toczącej się w czasie hukania, dotąd nie dosyć badanej. Przypuszczać należy, że nieraz słabszy lub mniej obrotny zginie od cięć dużych i ostrych szabel. Nieraz znajdowałem martwe odyńce w lesie, w części lub w całości w putrefakcyi, nadjedzone przez lisy lub pożarte przez wilki, często szukaliśmy kul, i nie zawsze odszukać zdołali, co nakłania mnie do mniemania, że nie jeden odyniec wesele życiem opłaca. W tej porze dzik rozdrażniony, często się rzuca na człowieka bez strzałów i psów, czego dwa razy w życiu byłem świadkiem. Wielu żyjących dziś jeszcze myśliwych pamięta widok dwóch czarnych kiszek z pobereżnika Iwana, zawieszonych na konarze buka, rosnącego horyzontalnie na linii podłużnej rewiru kameralnego w Polanicy. Na nieszczęśliwego strzelca wychylił się niespodziewanie na czarnej stopie z gąszczu odyniec, i zanim mógł się zmierzyć i strzelić, już go na ziemię powalił, i jednem cięciem rozpruł brzuch, kiszki wypuścił, i ruszył dalej nie pastwiąc się nad męczennikiem. Drugi dzik równie zuchwały i odważny znany był w Karpatach węgierskich w okolicy Koszyc. Polowałem na niego nieraz jeden z psami, zawsze jednak bez skutku, naganiacze bowiem w tym rewirze bali się stawać do obławy. Opowiadano mi, że gdy tylko człowieka zoczył, zaraz się na niego rzucał, szarżował nawet w lesie na pastuchów i baby zbierające grzyby i jagody. Dla psów nie miał być bardzo groźnym, odpędziwszy je bowiem szukał strzelca w przeświadczeniu, że on większym jego wrogiem, jak psy. Polowałem w tych dziewiczych lasach przez lat sześć, często i na tego napastnika, nigdy wszakże do niego nie strzelano, i nie mogłem się dowiedzieć, czy też ostatecznie przyszła kryska na Matyska? Zaiste te lasy i to dzikie polowanie, z odrębnymi zwyczajami zasługują na szczegółowy opis. Tam nie ma nic podobnego, ani nawet zbliżającego się do obrazów, kreślonych w naszym kraju, wszystko — dziwne z właściwą cechą, przerażające, a dla wytrwałego myśliwego nader ponętne. Góry stykające się z obłokami, jar na jarze, piętrzące się łomy, odwieczne drzewa, cieniem przygniatające rośliny, klomby naturalnych gąszczów — cisza grobowa — leśna pustynia nastrajająca duszę do smętnych marzeń. Tam zabłąkany, jeśli nie ma zmysłu myśliwskiego, nie szuka ludzi, postępując za biegiem sączącej się wody po debrach; to w leśnej pustyni bez granic zginąć musi, a do tego porozumienie ze słowiańskimi węgrami bardzo trudne, bo ich mowa jest taką mięszaniną, że odgadnąć myśli nie łatwem zadaniem. Przestrzenie górskie z przepadzistymi jarami, góry wysokości kilku tysięcy stóp gonią tam 8 do 10 naganiaczami wyjącymi przeraźliwie, a najczęściej polują z małymi, lekkimi ogarami, a to z przyczyny znacznych przestrzeni i odległości, zaczem idzie, że nocują w lesie tam, gdzie noc drużynę myśliwską zaskoczy. Mają tam koryta wydrążone w pniach drzew, ścielą nieco słomy, i w tych korytach, u nas dla zabitych wieprzów przeznaczonych, układają się myśliwi, a jeżdżą końmi lub wołami pod niebiosy, po nad debry i jary tak głębokie, że mimowolnie drzy serce z trwogi w obec tych przepaści. Opisywałem w części te urocze puszcze w Nrze 5. „Łowca“ r. 1879 w polowaniu na niedźwiedzie, dziś pragnę ów obrazek wykończyć i uzupełnić postaciami do nich należącemi. Granic dla nas w tych lasach nie było, i nikomu nawet na myśl nie przyszło pytać o właściciela, trąbka nas zgromadzała, a znakomici przewodnicy kierowali nami. O bogactwie tak u drobnych właścicieli jak wieśniaków mówić nie mogę, niedostatek wszędzie był widoczny, lecz też potrzeb mało. Nieszczęśliwy, kto bez zapasów żywności puścił się w tamte strony, i zmuszony był słoniną zaspokajać głód, pić gorzałkę nie lutrowaną, którąby nawet najznakomitszy pijak u nas pogardził, a przy obiedzie oblewać potrawy winem tegorocznym, z natury swej przeznaczonym raczej do sałaty. Tam jadłem sadzone jaja rozpuszczone w czekoladzie i kury z szodonowym sosem bijącym do nosa, nic więc dziwnego, że do śmierci mi te potrawy w pamięci towarzyszyć będą. Bracia S...., u których bawiłem, nie podobni byli do siebie, jeden wysmukły, chudy, blondyn, drugi barczysty, krępy i brunet, podzielili się ojcowizną, jeden dostał kilkadziesiąt morgów lichego pola i nieco łąk, a kilka tysięcy morgów górskiego lasu liściastego, nie dającego żadnego dochodu; drugi taką samą część. Każdy posiadał gorzelniczkę średniowieczną, i wydobywał, przepraszam za wyraz, śmierdziuchę z kartofli i żyta. Pierwszy posiadał uroczą żonę, smukłą brunetkę, z zacienionemi oczami, z powabnym uśmiechem i spojrzeniem, z kibicią pełną naturalnej giętkości, zaiste mogła uchodzić za Dyanę tej lesistej okolicy, — niestety bez żadnej dla mnie ceny, nie mówiła bowiem zrozumiałym dla mnie językiem, i dziś jeszcze pytam siebie, co znaczyły wymówione wyrazy temi prześlicznemi ustami. Dźwięcznym głosem szczebiotała do męża i szwagra szybko i swobodnie, lecz jednego sensu nawet pochwycić nie zdołałem pomimo przeplatanych słowiańskich wyrazów. Mężczyzni mówili z sobą wyłącznie po łacinie. Drugi nie posiadał wprawdzie tak miłej towarzyszki, ale natomiast trójkę znakomitych piesków, obadwa zaś zamiłowani myśliwi, przebywający w lasach w ciągu połowy roku. Suczka drobnych rozmiarów z nazwą Fiołka była przez dziki do tego stopnia pokiereszowana, że szew na szwie, wałek na wałku widzieć można było na całem ciele, co wszakże weterankę wcale nie odstręczało i nie zniechęcało. Kazano mi uczyć się poznawać głos Fiołki polecając, bym usłyszawszy jej głos spieszył na miejsce, gdzie napewne z dzikiem się spotkam, bo ona go nie puści. Suczka chuda i mała musiała posiadać szczególną zręczność w przytrzymywaniu dzika, zawsze go z tyłu ataku-

jąc. Przekonałem się tylokrotnie, że dzik pozostał w barłogu lub w pobliżu jego, a Fiołka tańcując kąsała go po nogach, nie mogąc się wyżej dostać. S.... mówił: „jak nie stanie Fiołki, to już nie będzie polowania na dziki“. Szczęśliwym trafem suczka wytrzymała przez czas mej dzierżawy, której przydłużać wstyd mi zakazywał, była bowiem od domu oddalona o 40 mil. Do tego oryginalnego kółka należała jeszcze indywidualność typowa już w Europie nie istniejąca, strzelec, psiarczyk, leśniczy i ekonom, zwany Bela. Mały, barczysty, zarośnięty, z kędzierzawymi włosami kruczej barwy, śniadej cery, niskiego czoła, z dużemi ustami, z wypiętym na krzywych nogach brzuszkiem. Nosił krypcie, spodnie z białego sukna, wyszywane czerwoną bawełną, kurtkę podszytą kożuchem, na szyi grubą, barwistą chustkę, na głowie siwą, baranią czapkę. Zawieszał na lewem ramieniu krótką strzelbinę z dużym wylotem, którąby był za królestwo nie odstąpił, w prawej ręce miewał gruby kij, ciało przepasywał rzemieniem, niby to smyczą wokoło ciała postronkiem cienkim, wreszcie zdobiły: go szeroka borsucza torba i trąbka z wołowego rogu. Bela był najznakomitszym tropicielem, jakiego kiedykolwiek w życiu spotykałem, po mistrzowsku podkładał psy, poprawiał i zachęcał, wcale nie chciwy strzału i uczynny dla drugich. Psy doskonale układał, i można było przysiądz, że na dzika puszczone, nie pójdą za innym zwierzem pomimo, że z tymi pieskami na lisy, zające i sarny polowano, o czem się nie raz przekonałem. Niestety ten pół cygan a pół węgier miał wadę nałogowego pijaństwa. Bracia S.... twierdzili, że przez całą zimę on się nie wytrzeźwia, a w lecie wódki wcale nie pija. Żeby ocenić genialność tego tropiciela, i jego olbrzymią siłę pomimo, że był chodzącą kufą gorzałki, trzeba znać te góry, i myślą przemierzyć te przestrzenie przerażające każdego obcego myśliwego. Bela przededniem wychodził, obtropił dwie, trzy góry, stawił się zawsze o godzinie naznaczonej na miejscu zboru, potem brał psy, szedł do barłogu, i czasem do samego wieczora prześladował dziki. Myśliwy to był zaiste, któremu można było folwark darować, i dawać bezpłatnie co roku beczkę wódki. Nie zdziwią się czytelnicy, gdy powiem, że przylgnąłem do Beli, jak dziecię do niańki. Z początku nie bardzo mu smakowała moja wódka, krzywił się, bo ani piekła, ani ponętnie śmierdziała, lecz się później do niej przyzwyczaił, i chodziliśmy zawsze razem, ile razy dzik ruszył dalej, a Bela nigdy przedemną nie strzelił. Bieda mi była z nim w rozmowie, on bowiem tak jak pani domu nie mówił zrozumiałym dla mnie językiem, więc wyuczyliśmy się nawzajem potrzebniejszych do polowania wyrazów, i te nam wcale wystarczały. Jedna mi tylko obawa bez przerwy towarzyszyła, że Bela z pijaństwa legnie i ja nie trafię do domu z tych lasów bez granic. Tam ani mowy nie było o przywiezieniu dzika do wsi w dniu jego śmierci, dopiero nazajutrz posyłano sanie po niego, a zwyczajem już było, iż kto zabił dzika, odrzynał ogonek i chował go do torby lub kieszeni, jako trofea i dowód ubicia. Nie małośmy ogonków zdobyli przez tych kilka zim, a w dniu grudniowym, o którym piszę, kilka ogonków umieszczono w torbach. Na świeżej ponowie obtropił Bela kilkanaście dzików wśród hukania, puszczono psy, a Fiołka wbrew zwyczajowi swemu popędziła warchlaka, i jak zawsze pociągnęła za sobą inne psy. Warchlak nie chodził długo, przytulił się do kłody w parowie, i zginął z mojej ręki. Niebawem usłyszeliśmy piskliwy głos suczki na uboczy, i pospieszyliśmy ku psom. Widocznie rozromansowane dziki chodzić nie chciały, strzały i pogoń psów nie przerażały je, stanęły na uboczy, i każdy z nich na śnieżnem tle zarysowywał swą postać w znaczniejszych rozmiarach. Było ich do 15, między nimi siedm dużych, i odyniec atakowany przez psy nieco bliżej nas, ruchliwy i zręczny, odganiający napastników z podziwienia godną szybkością. Nieraz widzieliśmy psa przewróconego i słyszeliśmy skomlenie. Widząc to niebezpieczeństwo, nabijając właśnie strzelbę, wskazałem Beli dzika. Zrozumiał mnie, zaiskrzyły mu się oczy, uśmiechnął się, splunął po tytuniu żutym w ustach, kiwnął głową, i bez przestrzegania ostrożności, dobrze podchmielony, szedł prosto na dzika. Odyniec pośród psów, z Fiołką dokuczliwą z tyłu, począł mamlać ryjem, toczyć pianę, tupać nogami coraz szybciej, nareszcie w straszliwym pędzie uderza na Belę. Ten gdyby ryś, odskoczył na kilka kroków, puścił dzika za siebie, strzelił, a odyniec koziołując jak zając kilka razy, zwalił się do wody bez życia. Uściskałem nieustraszonego strzelca pomimo, że nie mogłem sobie zdać sprawy, czy to on, czy gorzałka tak odważna, wysączyliśmy do dna manierkę, i jak się później pokaże, wódka ta dobiła Belę. Po odcięciu ogonka poczęliśmy trąbić pełnemi płucami, aby resztę rozproszonych myśliwych zwołać i naradzić się, co począć, gdyż była dopiero trzecia godzina. Mój towarzysz rozogniony, zapalił sobie moje cygaro, i z gwałtowną mimiką i ochrypłym głosem począł mi coś wykładać, pokazując na drugą górę, na psy i na siebie, z czego jednak nic zrozumieć nie mogłem. Nareszcie i bracia S.... nadeszli, winszując nam zwycięstwa, a wysłuchawszy narracyi Beli oświadczyli mi, że jemu można wierzyć, bo zna zwyczaje dzików, ich barłogi i przesmyki, więc za stadem jeszcze iść trzeba, które na górze za pasieką stanąć musiało. Poszwargotali razem, Bela wziął psy i znikł nam z oczów, a my poczęliśmy się mozolnie drapać pod zaśnieżoną górę. W czasie naszego pochodu dowiedziałem się, że Bela obejdzie całą górę, i psy puści z parowu, a dziki na nas nagoni. Już światło dzienne mroczyło się, gdyśmy na szczycie stanęli i spuszczali się po dosyć spadzistej ścianie. Pod nogami strumyczek osłoniony wikliną, dalej łączka, na niej ogrodzony kwadrat, w dali czarne lasy okiem nie przejrzane na stożkowatych górach, a cały krajobraz na różowem tle zachodzącego słońca. Zachwycony zanurzyłem wzrok w ową ojczyznę odwiecznego łowiectwa, myślą sięgałem w daleką przeszłość, podziwiałem siebie, że stoję w tej leśnej pustyni. Gdy tak dumałem, zmęczony nad miarę, jeden z braci S. porwał mnie za rękę mówiąc: „Fiołka goni“. Rozbiegliśmy się wszyscy dążąc do strumyka, przez który dziki miały się przeprawiać, a spojrzawszy na pagórek przed nami stojący, zobaczyliśmy zataczającego się Belę, dążącego ku psom. Wobec bliskości dzików, sądząc po głosie psów, już nie można było cofnąć pijanego strzelca nawoływaniem, więc w milczeniu wyczekiwaliśmy posuwających się dzików. I tu znów wrył się w pamięć moją obrazek na całe życie. Bela widząc wysuwające się z krzaków dziki, stanął jak osłupiały, na zupełnie pewnych nogach, przypuścił szarżujące stado na dwadzieścia kroków, dwoma strzałami powalił dwa ogromne dziki, przewrócił się na wznak, a cała czereda przeszła przez niego. Strach nas ogarnął, zapomnieliśmy o dzikach i pędzimy do zabitego według naszego mniemania Beli, nie dającego znaku życia. Przybiegłszy do niego, usłyszeliśmy potężne sapanie, a obejrzawszy go dokładnie przekonaliśmy się, że oprócz czerwonych plam na ciele od racic, nic pijakowi się nie stało. Dobiliśmy olbrzymie samury przewracające się i miotające ku psom, i naradziwszy się posłaliśmy po sanie, zostawiając leśnego przy Beli i dzikach. Szarża tych dzików była podziwienia godna i dziś ją jeszczę widzę. Na przodzie pędził największy, za nim trójka dużych w szeregu, a z tyłu warchlaki. Pierwszego przepuścił Bela, z trójki ubił dwa, i wzruszeniem a może

bardziej wódką pokonany, padł nawznak nieżywy. Po tym pamiętnym dniu opuściłem góry, wynagrodziwszy sowicie Belę znakomitego, a na wsiadanem usłyszałem te słowa: „Już Bela nie będzie trzeźwym przez trzy tygodnie!“

(Ciąg dalszy nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Olejów, 3 Kwietnia.

Wezwanie p. K. Remiszewskiego w korespondencyi z Krasiczyna trafiło do mej duszy myśliwskiej, jak akord harmonijny, więc spieszę z objawieniem mego zdania. Wniosek dążący do zakazu polowania na słonki w czasie wiosennego przelotu, musi przejąć smutkiem i niepokojem każdego myśliwego w latach klęsk elementarnych, głodu, trosk i kłopotów, w latach cisnących chmurami duszę i umysł, bez swobody i rozrywek, bo serce zasmucone, myśl gnębiona niepokojem śród trudności wyjścia z tego koła bezowocnej walki, ofiarnej a jałowej pracy, wszędzie żałoba i trwoga o przyszłość, wszędzie niezadowolenie i przestraszający ferment, zwiastujący zmiany wcale dla nas nie rokujące. Z zawieszeniem strzelby 1 Lutego już nam zamknięty raj swobody, odjęty środek rozpędzania gromadzących się zewsząd chmur, przebywamy wreszcie ów miesiąc mrozów, śnieżnic i zadymek, topimy się w mokrym i błotnym Marcu, i wstępujemy w kapryśny, zawodny, chimeryczny Kwiecień, przeplatany lodowatym deszczem, przymrozkami, i torujący nam drogi istotnie nie do przebycia. Pewnie nie znajdzie się wieszcz optymista z odwagą opiewania polskiej wiosny w tym brudnym miesiącu, nader rzadko w połowie jego pojawi się dzień nie nawidzony orkanami i dokuczliwą słotą, wieleż więc polowań możemy odbyć zwłaszcza gdy lasy nieco oddalone a drogi nieprzystępne? Stosunek ubijanych słonek do wędrujących może być uważany jak kropla wody do całego morza, a gdy się powietrze ogrzeje i uspokoi, już nasze długodzióby pociągnęły na północ i w góry. Wreszcie pojawia się ów dzień upragniony, wyruszamy w las z zaostrzonym wzrokiem i słuchem, z usposobieniem szczęścia i zadowolenia. Jeszcze ziemia nie może zrzucić ani wypić lodowatych plastrów śniegu, przyroda z zimowego snu ledwie się budzi, leniwa i zaspana, nieradna i nieczysta, ledwie leszczynie dozwala wypuścić skromne karminowe strzały, osice wiszące kędziorki a iwie palmy zwiastujące zmartwychwstanie, ostrożna i jeszcze skąpa, wypuszcza ozdobne pokrzywniki i cytrynki, owe barwiste motylki, zachęcające nas do porzucenia zadusznych mieszkań i zjednoczenia z odradzającą się roślinnością i balsamiczną wonią. Na kogo wzrok mój padnie, ma uśmiech na ustach, oczy błyszczące, płuca pełne dobroczynnego powietrza, każdy dobry, swobodny, zadowolony. Wreszcie rozstawiamy się lub idziemy rzędem, czekając na hałaśliwe burknięcie oczekiwanej słonki, lub też na elektrycznie działający wykrzyk *tire-haut*, między nogami plątają się zające zatrudnione miłośnemi sprawami, niezważając na swego zimowego wroga, rozżarte w walce, gniewne, bo nie zaspokojone, dzień cały walczą lub też prześladują już i tak do zbytku zdeptane i pogryzione zajęczyce, zaszargane w ucieczce, a pragnące spokojnego i cichego wesela. Wreszcie słońce nas żegna, a woń przyrody wskrzesza, każdy staje kierowany instynktem lub doświadczeniem, i cisza się rozściela. Jeszcze słychać gęganie ciągnących gęsi, widać klucze żurawi, spostrzegamy rozpustnego kaczora uwodzącego nie bardzo broniącą się kaczkę, pędzoną gdzieś w pola i na mokre łąki, aby tam spędzić noc nigdy nie zapomnianą, gdyby cienie szyją w powietrzu błotne ptaki, a krążące drapieżne wrogi ptactwa czatują na wieczerzę. Stoję sam, ludzi mi nie potrzeba, wznoszę myśl dziękczynną ku sklepieniu niebios, wdzięczny za tę chwilę pokoju i swobody. Przedemną siada Raszka, wypina swą ceglastą pierś, poczyna nucić czekając na przylot samiczki, początkująca to muzykantka, zmęczona podróżą, wprawia się do koncertu; z łoskotem zrywa się aksamitny kos złotodzioby, zaspiewał i zatrąbił jakby toast wnosił na moją cześć, siada na konarze wysoko, i melodyjnemi nutami kołysze mi wyobraźnię; dalej drozd spiewak, ten wierny bard naszych lasów, fletowymi tonami stwarza smętną i żałobną harmonię — istny spiew tęsknoty — mimowolnie wzrok i słuch ku sobie pociąga. Tam zabeczał rogacz ocierający swe mszyste rogi o gałęzie, tu miga mi szkodnik rudy, pokazując koniec biały kity, a zające do uprzykrzenia w moich oczach odbywają zaloty. Wtem odezwało się chrapnięcie, i skromny świst usłyszałem, wznoszę oczy, i spostrzegam oczekiwanego przez sześć miesięcy ptaka, ze skrzydłami w kosę wyciętemi, z dziobem gdyby sterem prującym powietrze, wyzywającym do walki i do pieszczoty. Niebawem pojawia się drugi, kształtny cień cichszy, widocznie skromniejszy i bojaźliwszy, dąży za pierwszym, zespalają się razem, skrzydłami trącają, znowu się rozłączają i zchodzą, aby się do siebie przytulić, nareszcie opodal siadają nad kałużą, odważnie wchodzą w wodę podnosząc ogonki i nieco skrzydła. Zdawałoby się, iż jak zbytecznie długie nosy u ludzi utrudniają pocałunek, tak przedłużony dziób u słonki przeszkadza w pieszczotach, mylne to jednak mniemanie, owymi dziobami głaszczą się po piórach, dobywają z wody robaki i ślimaki, w pełni używają uczty weselnej. Niestety przedemną cienie niewyraźne nie dozwalające strzału, lecz niebawem nadlatuje kawaler czy wdowiec, chrapie szepcze czule przelatując nad głową, pojawia się druga, trzecia para słonek, jakby w śnie czarodziejskim, — stałbym tam przez całe życie nigdy nie przesycony, lecz w końcu noc ciemna wypędza mnie z raju. Umysł zajęty widzianymi obrazami, myśl pracująca nad wyborem jutrzejszego stanowiska, dusza przejęta harmonią tonów przyrody, usposobienie zrezygnowane dla użycia owych rozkoszy na brodzenie w błocie, na utykanie po dziurach, na chłód i głód. Noc taka nastraja do uroczych marzeń — a wy te tęczowe barwy w życiu myśliwskiem pragniecie zniszczyć, w grobie domowym nas trzymać, zamknąć nam las z jego czarującemi tajemnicami, a nie pytacie wy niby ptasi protektorowie, ażali i jaką rzeź w owym rodzie zwierząt sprawiliśmy! Zaiste zdobyczą naszą niepodobna napełnić nawet półmisek przeznaczony dla nielicznej rodziny — ale natomiast rozkosz w duszy, umysł swobodny, a w sumieniu nie cięży nadmiar zbrodni. Pragniecie Ustawy wzbraniającej nam tego szczęścia, — Ustawę taką uważałbym za nowoczesną torturę, i raczej wolałbym oniemieć, jak dorzucić głos przyzwolenia do owego wniosku. Nie tylko mieści się w nim okrucieństwo jakoby z czasów Nerona, ale nadto cel zupełnie chybiony, pożytek nader problematyczny, bo czterdziestoletnie doświadczenie mnie uczy, iż mimo wolności strzelania słonek na wiosnę liczba ich się nie zmniejsza, owszem wzrasta, czego dowodzą lata 1873, 1874, 1878, 1879 wykazujące liczny ciąg tak wiosenny jak jesienny. Słusznie twierdzi hr. Baworowski, że ciąg tych elektryzujących nas ptaków zależy od przyczyn atmosferycznych, i długo trwające w porze wiosennej północno zachodnie wiatry wstrzymują ciąg, a wtedy odbywa się on jakby pospiesznym pociągiem, nie pozostawiając nam wędrowców. Jedno tylko znam dla słonek istotne niebezpieczeństwo, mianowicie wtedy,

gdy w terminie przylecą, a powita ich śnieżna, zimna słota, i przeciwne wiatry niedozwolą dalszej podróży do letniej siedziby — lecz to się zdarza nader rzadko. Od lat trzydziestu zapisuję termina ich przybycia i odlotu, owoż w tym przeciągu czasu pojawiły się licznie trzy razy tylko przed dniem św. Józefa, w innych zaś latach dopiero w pierwszych dniach Kwietnia, odlatywały zaś koło 16—18 tegoż miesiąca. Słonki pozostające u nas po dniu 20 Kwietnia uważam za przypadkowo zatrzymane, lub też pozostające dla lęgu. Mamy więc zaledwie 15 dni ciągu, odliczywszy dnie słoty i wichrów, tyle nieprzyjaznych polowaniu na słonki, polujemy tylko 8—10 dni, jakąż to szkodę wyrządzić można w tak krótkim czasie? Przeciętnie leci ich razem sześć, czworo przychowku i rodzice, i w takiej liczbie najczęściej w lesie zapadają; przy spóźnionym ciągu już lecą parami, pojedyńczo nadliczbowe samce; jeżeli zaś napotykamy gromadnie żerujące słonki, to jedynie wtedy, gdy stadko jedno za drugiem przybywało do nas, a wichry i śnieżnice wstrzymały dalszą podróż, lub też, gdy świeżo spadłe śniegi nie dozwoliły lecieć w góry. Dwa tylko lata z zimną i kapryśną wiosną napędziły hurmą słonki do moich lasów, w innych latach nigdy nie przybywały gromadnie. Olejów zdaje się leżeć na słonczym szlaku, a przecież go owe lube ptaki nieraz omijają, toż wiele mam zapisanych wiosen nie wykazujących więcej jak dwadzieścia kilka mimo kontroli, policyi myśliwskiej, sumiennego i pracowitego polowania we wszystkich rewirach. Pamiętam lata śnieżne, w których ledwie kilka godzin spoczęły i dalej powędrowały. Wierzyć nie chciałem, gdy mi służba leśna opowiadała, że jak kurki po śniegu biegają, później wszakże o tem nieraz się naocznie przekonałem

Ciąg wiosenny jest zawodny, dręczący a często i zniechęcający. Ileż to razy zapowiadano mi słonki na uboczach ku wschodowi i południowi, a nazajutrz ani jednej nie było! Ile razy po polowaniu wieczernym zostawiliśmy je a nad ranem już ani jednej nie było! Na pozostanie stalsze słonek u nas przez kilka dni wpływa nie tylko powietrze i temperatura, lecz głównie żer. Dziś zapadłe w jednym lasku, jutro przenoszą się do sąsiedniego obfitującego w pożywienie. — Bez sprawdzenia anatomicznego trudno, a dla mnie niemożliwe rozróżnienie samca od samicy wobec tak rozlicznych odmian w upierzeniu, kilka razy zdawało mi się, że wykryłem odznaki charakterystyczne, w końcu jednak okazało się, żem poszukiwał kamienia filozoficznego. Przypuszczam, iż jak w każdym gatunku ptaków, tak również u słonek przeważną jest liczba samców, jakoż niegdyś ze skalpelem w ręku sprawdzałem płeć i często kilka samców na bok odłożyłem, zanim samiczka dostała mi się w rękę.

Kto na wiosnę w Karpatach polował na głuszce, lub za nimi chodził, kto wiele nocy w górach przepędził w lesie, ten się dowiedział, jak olbrzymią jest tam ilość gnieżdżących się słonek, nie znających huku strzału ani prześladowania. Te to słonki spędzone przedwczesnymi, jesiennymi śniegami dostarczają nam uroczych polowań. Słonki pojedyńcze lub po kilka par gnieżdżą się we wszystkich naszych lasach, a niedyskretne zachowanie się samców zdradza je, zawsze jednak potrzebują w pobliżu wody do zaspokojenia pragnienia po spożytych żuczkach i ślimaczkach. Znalazłem w życiu kilkanaście zniesień, nigdy wszakże przed 22 Kwietnia, kiedy już nie polujemy, słonki się cisną do bagnistych lasów, na wiosnę zalanych i dla myśliwych zupełnie nieprzystępnych, i tam mają bezpieczne asillum. W myśliwskiem mojem archiwum, w ciągu całego mego życia, zapisane są tylko dwie słonki zabite z jaj, okazujące wytartem pierzem na piersiach spełnione obowiązki lęgu. Myślę, że stosunek pięciu do stu jest słuszny, pierwsza cyfra przypada na wiosnę, druga na jesień. Doświadczenie stwierdza, że słonka nie znosi ciepła, szuka kąpieli, posuwa się ku śniegom, zamieszkuje stoki północne gór, unikając słońca, z tej więc przyczyny, gdy promienie słońca przyrodę ze snu obudzą, ona się wynosi. Pocieszną jest w tym nieznośnym dla siebie stanie, z meszkiem, które istotne stanowi futro, jak się kładzie, rozpuszcza skrzydła, ogon podnosi, ciężko oddecha, a czasem zachrapie, widocznie ciepłem rozstrojona a za leniwa do poderwania się. Miewałem dawniej od Towarzystw ornitologicznych sprawozdania listowne o ciągu ptaków i dziesiątkowaniu strudzonych wędrowców. Wyspy archipelagu, Cypru, Malty, częstokroć neapolitańskie wybrzeża krociami mordują słonki strzelbami, kijami i sidłami. Na wielu wyspach przybyła awangarda wywołuje całą ludność na brzegi morskie, i mordowanie jest hasłem do ukończenia ciągu. W jesieni znowu na brzegach Azyi i Afryki czekają wrogi na słonki, a często one wysoko lecąc, pędzone orkanami, dalej lecą niż miały zamiar, i zapadają tak zmęczone, że się ręką dają brać. Miałem raz list z pod Libanu opisujący urządzoną rzeź kijami na słonki, uciekające piechotą do krzaków, nie mogące się poderwać. Mój na mnie wielce łaskawy kolega ornitolog Kiverbelling przysyłał mi przez kilka lat raporta o zabitych słonkach na brzegach Norwegii i Szwecyi, i w nich znajdowały się istotnie zadziwiające cyfry ubitych słonek na wiosnę. W r. 1842 czy 3cim przybyły słonki na wyspę Helgoland 27go Września w znacznej ilości. Dano znać o tem zjawisku około 1szej po południu, nim się ludność zebrała, pewnie była godzina trzecia, a do wieczora leżało 68 słonek na skałach, w większej części skrytobójczym sposobem zabitych podkradaniem się na brzuchu do warujących ptaków. Były one widocznie nad miarę zmęczone, chybiona bowiem patykiem leciała nad morze, okrążała wyspę i znowu zapadała. Noc pokrzepiła ich siły, a przy wschodzie słońca już żadnej nie było. Oto są przerażające, o pomstę wołające mordy, nie zaś nasze wiosenne polowania, wymagające niepospolitego poświęcenia, a gdy nogi zchodzę, język wysuszę jak westfalską szynkę, nogi zamoczę, kataru się nabawię, a z powrotem mój wizerunek w błocie pozostawię, przynoszę trzy do sześciu, a w wyjątkowych latach kilkanaście słonek z polowania. I te to cyfry tak niskie, nawet na szlakach słonczych, mają motywować przyszłą Ustawę mającą być przez Sejm uchwaloną i przez Najjaśniejszego Pana sankcjonowaną! Zaiste taki projekt zdaje mi się być naigrawaniem z prawa i prac sejmowych!

Większa część słonek dostaje się w Karpaty od strony Węgier, i tych na ciągu nie widzimy, główne korpusy przez nas skubane dążą ku północy, gdzie najliczniej latują. Gdy przeto pomyślę, że dla Szweda i Norwegczyka mam uczynić ofiarę przechodzącą siły prawdziwego myśliwego, i to jedynie w tym celu, aby oni w tem większej liczbie ubijali oszczędzane przez nas ptaki; to przyznaję, że mi z oburzenia krew kipi w żyłach. Jeżeli bogdaj niektórzy z nas zatrzymają w posiadaniu swą ojcowiznę, i poświęcą tradycyjnemu zawodowi swe życie i pracę, jeżeli jeszcze nie wszyscy mamy się przenosić na bruki miast, jeżeli na wsi szczęśliwie przeżyją zimę i chimeryczną naszą wiosnę; to dajcież im w zamian choć owych kilka dni rozkoszy i swobody śród lasu, śród balsamicznej woni powietrza, śród budzącej się do nowego życia przyrody, i pamiętajcie, że słonka nie jest dla kłusowników, i że stosunek szkody w tym względzie przez nas wyrządzonej jest takim, jak atom do całej góry.

*

Co do wprowadzenia kart myśliwskich zgadzam się zupełnie z zdaniem hr. Baworowskiego, uważam to za ciężki podatek, bezpożyteczny, a sam wniosek jako niepraktyczny.

Słonek dotąd u mnie nie ma. Przyleciały gołębie siniaki, skowronki i szpaki już dawno, widzimy tu i owdzie bociana markotnego, pliszki szare, jednego płochacza, ciąg gęsi i żórawi, szpaki i krzyżówki w parach, lecz ciąg nie postępuje normalnie. Słonki przylatają tu zwykle około 3 do 5go b. m., wcześniejszy ciąg jest wyjątkowy. Tego roku mamy z powodu orkanów i śnieżnic w lesie zaspy zlodowaciałe, których ani słońce ani wiatr zlizać nie może — to zdaje mi się wstrzymuje ciąg. Nawet drozdów spiewaków i kosów nie ma, a zięb tylko samce przyleciały, czemu zresztą nie ma powodu się dziwić, bo w nocy zima, a w dzień wiosna.

Kazimierz hr. Wodzicki.

Kołomyja, 23 Marca.

W Dodatku do Nru 3. „Łowca“ z r. b. umieszczono stenograficzne sprawozdanie z obrad Walnego Zgromadzenia gal. Tow. łowieckiego, na którem oprócz innych kwestyi, uchwalono również petycyę do Wydziału krajowego o wniesienie przy najbliższej Sesyi sejmowej projektu do Ustawy o kartach myśliwskich. Celem takiej Ustawy ma być:

a) ochrona zwierzostanu, rozmnożenie zwierzyny pożytecznej, a tem przysporzenie krajowi i kulturze jego prawdziwych korzyści;

b) poskromienie i wytępienie dytychczasowego kłusownictwa.

Ponieważ rzecz ta dotąd jest jeszcze wnioskiem, podlega przeto dyskusyi, aby wszechstronnie rozpatrzony mógł istotny przynieść pożytek. Nie ma wątpliwości, że tak piękny kraj, jakim jest Galicya, będzie z czasem posiadał tak bogaty zwierzostan, jak Czechy, Morawija, Austrya, jeżeli objawiające się obecnie co do łowiectwa dobre chęci, z całą energią i wytrwałością do skutecznego działania doprowadzą — niestety u nas zwykle pierwszy zapał ostyga, pogrążamy się chętnie w nieczynności i apatyi, a w takim razie żadna Ustawa sama przez się nic nie zdziała.

Pozwalam sobie po porozumieniu się z kilku towarzyszami wyrazić wątpliwość, iżby projektowane wprowadzenie kart myśliwskich doprowadziło do zamierzonego celu, osiągnięto by ów cel raczej wtedy, gdyby prawo polowania na obszarach gminnych całego kraju wydzierżawione zostało, i wszędzie kłusownictwo energicznie i surowo karcono i tępiono. Ponieważ ludzie inteligentni nie szukają w polowaniu źródła zarobku, lecz jedynie rozrywki, ponieważ w celu pomnożenia tej przyjemności niezawodnie staranniebv strzegli zwierzostanu; należałoby więc prawo polowania na obszarach gminnych wydzierżawiać tylko takim osobom lub korporacyom, nie zaś jak dotąd włościanom, co zresztą sprzeciwia się patentowi z r. 1852 §. 13, i na co też c. k. Starostwa w interesie kultury krajowej szczególną uwagę zwracać powinne. Najpewniejsza to droga według mego przekonania do podniesienia zwierzostanu o tyle, iżby tenże dostarczył krajowi dochodów tak jak w innych prowincyach austryackich. W tym celu niezbędną też jest sprężysta policya myśliwska.

Wiadomo, że polowanie jest kosztowne, a nie przynosi ono odpowiedniego pożytku z powodu braku zwierzyny. Czy to właściciel polowania, czyli też dzierżawca ponoszą znaczne koszta za skąpą przyjemność. Słusznem jest, iżby ów koszt przeniesiono i na innych miłośników łowiectwa wprowadzając karty myśliwskie, za które każdy myśliwy musiałby złożyć pewną opłatę. Kwoty te składane w c. k. Starostwach należałoby użyć jako nagrodę nie tylko dla c. k. żandarmeryi, jak to na Walnem Zgromadzeniu uchwalono, ale także dla policyi targowej w większych miastach, gdzie zwykle zwierzyna przez kłusownictwo dostarczona znajduje łatwy odbyt. Zresztą i Tow. łow. mogłoby tam mieć płatnych agentów. Byłbyto podobno najlepszy środek poskromienia kłusownictwa, zwłaszcza, gdyby Ustawa do takiego działania upoważniała.

Co do udzielania kart myśliwskich byłbym za rozszerzeniem tychże przeważnie w warstwie ludzi inteligentnych. Ci zgłaszając się po kartę, wiedzą gdzie mają i mogą polować, owa karta nie upoważnia ich do polowania na obcych terytoryach. Odmawianie karty zniewalałoby do omijania prawa, szerzyłoby kłusownictwo nawet w tej sferze, a nieinteligentny kłusownik nie chce znać wymagań prawa, i po kartę pewnie się nie zgłosi.

Co do opłaty za kartę, nie zgadzam się z uchwałą Walnego Zgromadzenia, sądziłbym, iż odpowiedniejszy byłby podział jej na 3 klasy:

a) Posiadacze polowania, nie płacący czynszu, niech składają 10 złr.

b) Dzierżawcy na obszarach gminnych 5 złr.

c) Miłośnicy polowania, biorący w niem udział jako zaproszeni goście, mogliby prosić o wydanie kart myśliwskich na jeden, dwa lub trzy miesiące, i opłacać za nie 1, 2 lub 3 zł.

Do tej kategoryi zaliczam nauczycieli, urzędników, oficerów i uczniów w czasie feryi szkolnych. Nie potrzebuję dodawać, iż ostatni otrzymaliby kartę tylko na podstawie zezwolenia rodziców lub opiekunów. Tacy myśliwi polują zwykle tylko na drobną zwierzynę, jako w porze letniej, wyższa przeto opłata byłaby dla nich uciążliwą i niesprawiedliwą, a co więcej zniewalałaby do omijania prawa i nieszanowania Ustawy, a więc do demoralizacyi.

Co do kłusownictwa, to Ustawa z d. 21 Grudnia 1874 r. i 30 Stycznia 1875 r. postanawia wprawdzie wyraźnie porę, w której zwierzyna ma być szanowaną; ale czyż owa Ustawa jest ściśle u nas przestrzeganą? Kto tam się o to troszczy — nie ma oskarżyciela, więc nie ma też i sędziego.

Zresztą do kłusowników bardzo groźnych należą też i psy niestrzeżone, a szczególnie charty, które w każdej porze bezkarnie tępią zwierzynę. Należałoby przedewszystkiem znać dokładnie cały obszerny zakres kłusownictwa, i nie lekceważyć najmniejszego jego odłamu, owszem wszędzie i zawsze zapobiegać mu, a wtedy cel nasz będzie w istocie osiągnięty.

W razie przychylnego przyjęcia tych moich skromnych uwag, mam zamiar przesłać do „Łowca“ inne, które wykażą, w jakich warunkach mógłby być pomnożony stan członków galic. Tow. łowieckiego i osiągnięte cele jego. *W.*

Odpowiedź panu J. B. z Pokucia.

Szanowny autor korespondencyi z Pokucia, wielki znawca psiego rodu i erudyt w tej mierze, czego dowodzą przytoczone przez niego sentencye obcych naturalistów, wyzwał mnie na teoretyczno-naukową dysputę, w której ja praktyk w taki sposób mam honor odpowiedzieć: Sz. autor utrzymuje, że długość uszów u psa nie jest jedyną oznaką, iż on i cały jego gatunek przeznaczonym był z natury do żerowania i stałego przebywania na wodach. Mniema on, iż budowa zębów i szczęki jest najważniejszym warunkiem podziału. Opisując psa nadwodnego, nie przepomniałem zwrócić uwagę na budowę szczęk i zębów, wszelako i teraz stanowczo utrzymuję, iż główną różnicę w gatunkach psów stanowi budowa uszów. Zapomniałem dodać w moim artykule, że obwisłe uszy u psa nadwodnego i dzi-

siejszego wyżła, spływając po obu bokach głowy, nietylko chronią nieco organa słuchu od wciskania się w nie wody, lecz zarazem pomagają psu w utrzymaniu głowy na powierzchni wody, co jest rzeczą nie małej wagi, wiadomo bowiem, z jaką starannością chronią wszelkie zwierzęta wzrok i słuch od tego żywiołu. Otwory uszne umieszczone są na wierzchu głowy, powyżej oka, więc przy pływaniu woda się w nie nie wciśnie, a główną ochroną przy nurkowaniu są owe długie kłapcie u wyżła, który jedynie wraz z pudlem i psem nowofundlandzkim posiada tę właściwość. Ilekroć zdarzyło mi się widzieć te psy nurzające się w wodzie, tyle razy uważałem, że głową na dół idą w wodę, a równie też z głową w górę wzniesioną wypływają na powierzchnię, nie mniej dokładnie spostrzegłem w obu wypadkach, że kłapcie szczelnie wtedy przylegają do głowy, i zamykają otwory uszne tak, iż woda dostać się w nie nie może, co też sobie łatwo wytłumaczyć. Idąc głową na dół naciska wodę, która stawiając opór przymyka kłapcie do ucha. Toż samo dzieje się przy wypływaniu z wody. W celu uwidocznienia owego zamykania otworów usznych przy za i wynurzeniu się wyżła, dość jest pokryć otwór butelki próżnej kawałkiem skóry lub pęcherza i przywiązać go do szyjki tylko w jednem miejscu, by owa skóra lub pęcherz tworzyły rodzaj klapy. Gdy obróciwszy butelkę dnem do góry, zanurzymy otwór szyjki wraz z klapą prostopadle w wodę, a uczynimy to szybko, czy też powoli, to przekonamy się, że klapa ta mocno przylgnąwszy do otworu wody do wnętrza butelki nie dopuści. Wynurzać butelkę z wody należy w przeciwny sposób, mianowicie obrócić szyjką do góry, Butelkę można śmiało na dnie naczynia napełnionego wodą postawić, można nią poruszać, trząść, lub z wody wydobyć, w każdym jednak razie ściśle przestrzegać prostopadłego położenia butelki; woda się do otworu nie dostanie, albowiem nacisk wody zamyka klapą szczelnie otwór. Prosty ten przyrząd najmocniej utwierdził mnie o właściwym celu owisłych uszów u psa niegdyś nadwodnego, a dzisiaj wyżła, lub w ogóle u psów, mających naturalny pociąg do wody i nurkowania w niej. Sz korespondent twierdzi następnie, że każdy ostrouchy kundel po każdej dobrolub mimowolnej kąpieli mniej się strzepuje, jak wyżeł lub pudel, co ma dowodzić, że w uszy ostatnich więcej wody się dostanie jak pierwszego. Dodaje nawet, że według jego zdania owisłe uszy legawca przytulaniem się do głowy wciskają jeszcze bardziej wodę w otwory uszne. Takie twierdzenie nie zgadza się z prawami fizyki. Kłapcie uszne są tak elastyczne, iż falując wraz z wodą, żadnego jej nie dając odporu, w żaden też sposób wody do otworów usznych doprowadzić nie zdołają. Dla przykładu proszę ćwiartką papieru zagarnąć wodę ku otworowi jakiegokolwiek naczynia, zawsze woda swobodnie umknie. Płatek taki papierowy, skórzany lub jakikolwiek, byle tak elastyczny, jak kłapeć uszny, przylgnie do otworu naczynia, zamknie je, ale wody doń nie napędzi. Tak też dzieje się z kłapciem psa, woda igrając nim to oddala to przybliża go do głowy, ale ani kropli wody nim do ucha nie doprowadza. Wilgoć nawet nie wkradnie się do ucha, bo broni je od niej tłusta substancya, która cienką warstwą zalega wnętrze ucha wszystkich psów przeznaczonych do pływania i zanurzania się. Długie i silne strzepywanie się wyżłów wcale nie jest wyrzucaniem wody z uszów lecz raczej z długiego włosa, i jest tem uporczywsze, im dłuższe ma wyżeł na sobie kudły. Żaden pies, nawet legawiec kurlandzki, najochotniejszy do wody, nie znosi jej na sobie, a najwymowniejszym tego dowodem, że pies najchętniej idący na wodę, skropiony kilku kroplami, okazuje niezadowolenie, umyka, i najstaranniej się otrząsa. Jako dowód przywiódł sz. korespondent psy Eskimosów, które same sobie łowią ryby. Nie zaprzeczam tego, ale jak się to dzieje? Eskimosy, Grönlandczycy, w ogóle wszystkie ludy wysoko na północy mieszkające, żywią w zimie psy swoje, których do pociągu i do łowów używają, z ręki tylko rybami, które w tej porze i ludzi jedynem jest pożywieniem. W czasie krótkiego lata psy same żerują. Skoro tylko słońce zabłyśnie, śnieg zginie, lody stopnieją lub jako kry spłyną do morza, a wód suchą stopą przebyć nie można, staje się pies niepotrzebnym około jurty, wypędzają go i zmuszają do żywienia się własnym przemysłem. Głodne i znędzniałe psiska zbierają się w gromady i ruszają po łup nie przebierając w strawie, co się nadarzy żrą, lecz niezawodnie najmniej ryby, zwłaszcza te, któreby w głębiach rzek lub jezior łowić wypadało. Łowią wprawdzie ryby, ale nie stworzone do nurkowania nie szukają ich w toniach wód, bo w takim razie jako ostrouche, miałyby pełne uszy wody, któraby się aż do mózgu dostać mogła. Pies północny nie oddaje się wcale tak trudnemu rybołowstwu, bo krocie wodnego ptactwa gnieździ się po wybrzeżach jezior i rzek, jaj tam mnóstwo i piskląt, a i starkę często złowić mu się uda. Gdy tego wszystkiego zabraknie, to wie on, że jeziora utworzone z śniegowej wody, pozbawione przypływu, często wysychają całkowicie i pozostawiają w małych i płytkich kałużach mnóstwo ryb, które ledwie stopy zamoczywszy łowi i pożera. Nie skąpo musi być tego żeru, kiedy po upływie lata, gdy pies z nawyknienia do domu swego właściciela powraca, ten go poznać nie może, tak się wypasł i wygładził. Lecz z taką tuszą nie zdolne są do pociągu, do szybkiego biegu, bo się rychło męczą, rozgrzewają, a chwytając dla ochłodzenia się kawałki śniegu, oziębiają nagle płuca, i giną. Przemyślny Eskimos, Grenlandczyk lub Lapończyk, w celu przysposobienia rychłego psów do pracy, wrzuca je, gdy wracają wypasione letnim obłowem, w głęboki dół, i karmi nader skąpo przez dni kilkanaście rybami, a obficie daje wody. Po takim poście pies wydobyty już znacznie chudszy i lżejszy staje się zdolnym do pracy. — Nie godzę się z sz. korespondentem, iż co do budowy ciała psy owe podobne są do chartów, mają one bowiem przód wyższy od zadu, co je też bardzo do pociągu usposabia, chart zaś przeciwnie mając zad wyższy od przodu usposobionym jest do rączego pościgu. Wysmukłość psów północnych zwłaszcza w porze zimowej pochodzi z ciężkiej, nieustannej pracy i wychudzenia, bo żywione wtedy bywają skąpo tylko rybami, a po pracy odpoczywają na uwięzi. — Sz. korespondent wyraża wątpliwość, ażali pies leśny (którego już nie ma) mógł mieć wstręt do wody, kiedy lis go nie ma. Ma go w wysokim stopniu, sz. panie! Ani pierwotny pies leśny, ani wilk, ani lis nigdy nie żerował *na* wodzie, lecz *przy* wodzie, a to wielka różnica. Że starzy myśliwi widzieli lisa bobrującego, przyznaję, wiadomo bowiem, że bóbr nie żerował na wodzie, tylko przy wodzie. Przemądry Mekita spekuluje, jakby to podejść kaczkę, żerującą w późnej jesieni po oparzeliskach stawowych i nadrzecznych, często ją też złowi, ale w jaki sposób? Szuka miejsca, gdzie nocujące na kępie kaczki po zwyczaju jedna za drugą krocząc ku wodzie wydeptały rowek w zeschłej trawie lub sitniku. Wie on z doświadczenia, że ptactwo wodne zwykle wydeptuje sobie ścieżkę, którą nieodmiennie do wody schodzi, i z niej powraca. Lis więc przywarowawszy dobrze ukryty w pobliżu takiej ścieżki, czeka cierpliwie, aż kaczki pod niego podpłyną i na brzeg wyłażą. Jednym skokiem rzuca się na nie, ale zwykle jedną pochwycić zdoła, reszta bowiem w przerażeniu wzlatuje i rozprasza się. Na wodzie kaczki nie chwyci, bo pływak z niego nie tęgi, a

do wody idzie chyba tylko w koniecznej potrzebie. Żaby również łowi nie w wodzie, lecz na moczarach lub przy brzegach wód. Miałem sposobność naocznie się przekonać o powyższem twierdzeniu mojem łapania kaczek w roku 1854 na stawie Zborowskim. Przez cztery godzin zaczajony w trzcinie obserwowałem lisa czatującego na swojskie kaczki, z których jedną w moich oczach złowił — ale nie na wodzie. W podobny zapewne sposób ściąga wilk gęsi ze stawu.

Przytoczone przez sz. korespondenta twierdzenie angielskiego badacza przyrody A. Smitha, że psy amerykańskie szczekać nie umieją, i że szczekanie nie jest wyłączną cechą psiego rodu. — nie mogę uważać jako rzecz dowiedzioną i pewną. Sam widziałem dwa dzikie psy amerykańskie w jednej z przejezdnych menażeryi, które wyraźnie i donośnie szczekały, więc pozwalam sobie wątpić, iżby od psów europejskich szczekania uczyć się miały, bo tego tylko mogłyby się nauczyć, do czego natura ich usposobiła. Dla czegóż pies turecki w ciągu wieków przebywający w Europie, dotąd szczekać nie umie? Z tej prostej przyczyny, że nie ma odpowiednich narządów do wydawania z siebie podobnych głosów. Toż samo dzieje się z wilkami, lisami, szakalami, hyenami, zwierzęta te zrodzone nawet w klatce menażeryjnej, w ciągłem zetknięciu z psami, nigdy się szczekać nie nauczą z czysto fizycznej przyczyny. Nie mogę też wytłumaczyć sobie mniemania Jejtelesa, iż pies dziki, nie umiejący szczekać, w towarzystwie człowieka szczekać się uczy. Tenże uczony twierdzi, że jamniki, pincze i szpice nasze mają pochodzić od szakala (canis aureus) lub psa torfowego. Co do jamnika, obszerniej o nim mówić będę na innem miejscu, szpic zaś wywodzi ród swój z północy. z wyspy Islandyi, gdzie też dotąd się utrzymuje w pierwotnej swej postaci, znacznie większej od europejskiego. Psów tych używają Irlandczycy i Grenlandczycy, jak my naszych jamników do łowów na wszelkie zwierzęta żyjące w norach lub rozpadlinach skalnych, jakoteż do wybierania piskląt pewnego ptaka, gnieżdżącego się w głębokich wcale norach u stoku gór lub skał. Pies tego rodzaju nie wielki, na krótkich osadzony łapach, z głową stosunkowo do korpusu małą i mordą spiczastą, łatwo do gniazda się wciska, i wyciąga pisklęta lub starkę. Używają też tego psa na lisy, sobole i t. p. Gdy które z tych zwierząt ścigane lub postrzelone skryje się w rozpadlinę skalną lub lodową, to w takim razie puszcza psa, który owe zwierzęta sam łowi, lub na powierzchnię lodu wypłasza. Psy te gonią głosem, za którym dąży łowiec islandzki, i oszczepem lub strzałem zabija zwierzę. Mają też te psy islandzkie, jak w ogóle wszystkie w głębokiej północy, mordę szpiczastą i ucho ostre. Żyją wprawdzie rybami, ale łowią je nie na lecz przy wodzie, lubo dobrze pływają, nurkować wszakże właśnie z powodu ucha swego nie umieją. Według mego przeto zdania, pies nadwodny mający uszy obwisłe, był jedynie w całej rzeszy psiego rodu usposobionym z powodu obwisłości swych uszów do nurkowania. Dodać mi jeszcze należy, że fafle czyli wargi u wyżłów stanowią pewien rodzaj klap bezpieczeństwa, niedopuszczających wody do wnętrza paszczy. — Jedną z najważniejzzych cech odróżniających wyżła wszelkich ras (prócz angielskiej) od współplemieńców jest powłoka skórna jego korpusu. Skóra ta przy ujęciu jej jakoby za obszerna wolno obiega ciało, usuwa się z miejsca, łatwo ją nawet podnieść. Sprawia to gruba błona tłustawo-flegmistym obleczona śluzem, która naturą już swoją ułatwia legawcowi utrzymanie się na powierzchni wody i wytrwałe pływanie i zanurzanie się. Wyżły rasy angielskiej, niechętnie idący nietylko do wody, ale nawet na moczary, zupełnie tej właściwości nie posiadają, więc też pociągu do pływania po wodach i zanurzania się w nich nie mają.

Wdzięczny sz. korespondentowi za uwagi, które niezawodnie naprzód posuną dociekania w tym przedmiocie, upraszam o dalsze zarzuty. *U.*

KRONIKA.

Wierzbiatyn, 17 Marca.

Wypadek z żbikiem. Mieszkając w Pobereżu nad Dniestrem, trzymałem psy gończe, z którymi głównie na dziki polowałem. Wyjechawszy pewnego razu z zamiarem użycia tej wielkiej przyjemności do lasu, rosnącego na skalistej ścianie nad Dniestrem, gdzie często bardzo dziki zalęgać lubiały, zaraz przy wjeździe uwiadomiony byłem przez leśnego, że pojedyńcza sztuka jest w pierwszym przy drodze miocie. Ucieszony tą wiadomością, kazałem jedną sukę puścić na świeżym tropie, sam zaś znając dokładnie miejscowość i wiedząc, że dzik mając przed sobą bardzo głęboki jar, z boku zaś strome skały do przebycia, powinien był tą samą drogą wracać, posuwałem się za nią w przekonaniu, że się z dzikiem spotkać muszę. Zaledwie kilka kroków postąpiłem, ujrzałem w odległości około 150 kroków przyczajonego na drzewie żbika, którego w pierwszej zaraz chwili po szerokim na dół zwieszonym ogonie poznałem. Na nieszczęście dla mojej ulubionej Wisły trop dzika prowadził pod drzewo, na którym żbik siedział, powiedziałem na nieszczęście, bo w chwili, gdy była przy drzewie, żbik zrobiwszy skok z znacznej wysokości, utopił pazury swoje w jej grzbiecie i wpił się zębami w kark. Niespodziewanym tym atakiem przerażona biedna suka, czyniła wszelkie możebne wysilenia w celu uwolnienia się od niego, ale niemogąc zwrócić głowy tyle, by go pochwycić zębami, rzuciła się na ziemię, tarzała się, to znów zrywała trąc się o drzewo, nie wydając przy tem z siebie prócz bardzo cichego skomlenia, żadnego silniejszego głosu. Widząc to zmieniłem w jednej chwili nabój z kulą na śrótowy, i co tchu spieszyłem suce w pomoc. Zbliżywszy się na kilka kroków, mając z natury jakiś nieprzezwyciężony wstręt do wszelkiego rodzaju kotów, znalazłem się w nader przykrem położeniu, z jednej bowiem strony przyznać się muszę do mimowolnej tremy, iżby rozsrożony żbik na mnie się nie rzucił, z drugiej zaś niepodobna mi było strzelić bez narażenia życia mojej nieocenionej Wisły. W tej ostateczności mimo groźnego wrażenia, zdobyłem się na zuchwałą odwagę, podsunąłem się tak blisko, oczywiście z wymierzoną lufą i palcem na cynglu, że przyklęknąwszy i przyłożywszy lufę do rozjadłego zwierza, strzałem z dołu ku górze idącym powaliłem go trupem. Kwadransu czasu potrzebowałem na wydobycie ostrych szponów tego niegodziwca z ciała psiego. Oswobodzona suka natychmiast poszła za tropem dzika, wkrótce go doszła i poczęła w towarzystwie reszty psów gonić. Dzik widocznie strzałem spłoszony, wydrapawszy się pod ogromną skałę, szybkim krokiem uszedł daleko w obcy las, gdzie go już dalej prześladować nie mogłem. *A. Kozicki.*

Posyłam wykaz ubitej zwierzyny od 1 Marca 1878 r. do ostatniego Lutego 1880 r. w trzech rewirach: Konty, Raźniów i Jasionów:

Pożytecznej: dzików 13, kozłów 27, zajęcy 179, jarząbków 5, cietrzewi 1, słonek 93, paszkotów 28, kaczek 59, błotnego ptactwa 174. Razem 573 sztuk.

Szkodliwej: lisów 96, kun, tchórzów i łasic 14, wydr 1, kotów 26, psów 53, wiewiórek 44, orłów i sępów 5, jastrzębi 60, srok, wron i sojek 73, sów 9. Razem 392 sztuk. Pożytecznej i szkodliwej zwierzyny ubito przeto u mnie w ogólnej sumie sztuk 975. *Wł. Gniewosz.*

Olejów, 22 Marca.

Dzieją się w tych latach nie widziane rzeczy, widzimy zjawiska nie do wytłumaczenia. I tak sarny kocą się od 15 Kwietnia do 15 Maja. W tym roku tak groźnym dla zwierzyny, przy srogiej zimie i głębokich dziś jeszcze śniegach, okociła się jedna sarna u mnie 13, druga 17 czy 18 Marca. Myślę, że podobnego faktu żaden myśliwy zacytować nie może. Ciekawy jestem. czy te przedwczesne sarniątka się wychowają na śniegach i przy dziesięcio-stopniowym mrozie? *Kaź. hr. Wodzicki.*

Nauka nie oparta na doświadczeniu często prowadzi na błędne tory. Dowodem tego jest twierdzenie uczonego profesora w Berlinie pana Altum, który utrzymuje, że głos, jaki kszyk na wiosnę z siebie wydaje

(*Balzlaut*, po polsku o ile mi wiadomo bębnienie), pochodzi z końcówek piór rozwartego ogona, które stykając się z piórami skrzydeł przy szybkiem wirowaniu w powietrzu, ów głos wydają. Znany niemiecki naturalista Naumann na tej samej podstawie swoje zapatrywanie na tę rzecz opiera. Niemal każdy z naszych myśliwych przysłuchiwał się zapewne bębnieniu wiosennemu kszyków, i zgodzi się niezawodnie z mojem zdaniem, że głos ów wychodzi jedynie z organów głosowych. Na poparcie twierdzenia mego nadmienię, iż kilka razy zdarzyło mi się widzieć przy stawach i bagnach kszyka siedzącego na suchym ułamku drzewa, i to wysoko — bębniącego. Co do zdania p. profesora Altum radziłbym, żeby który z wyznawców tego przekonania chciał z wiosną do nas zjechać, a gościnność Prezesa Towarzystwa łow.. wysoko cenionego i znanego badacza przyrody, nie odmówi mu sposobności naocznego przekonania się na rozległych błotach Markopola i Załoziec, że nie *Schwanzfeder* wydają *Balztöne* u naszego kszyka. *S. O.*

P. R. Według naszego przekonania w tym razie nauka i doświadczenie w zupełnej są z sobą zgodzie. Jesteśmy stanowczo adherentami teoryi prof. Altuma i Neumanna, i bardzo wątpimy, iżby sz. korespondent mniemanie swoje skutecznie obronić zdołał.

Protokół Walnego Zgromadzenia członków Towarz. myśliwskiego Sołotwińskiego, odbytego dnia 21 Marca 1880 r.

Obecni PP.: Fr. Hess, M. Kowiński, J. Hodely, K. Jantschke, L. Jantschke, U. Künsberg, F. Schille, A. Fabricy, J. Schmidt, E. Schupik, J. Meixner, F. Hartmann, S. Janiszewski.

Uchwalono większością głosów skład Wydziału zeszłoroczny.

P. Schmidt wnosi, by gminy: Sołotwina, Rakowiec, Krzywiec i Jabłonka były na lat dwa wolne od polowania, i aby zwierzostan tamże, a szczególnie sarny, zające, kuropatwy i cietrzewie były najstaranniej szanowane. Wniosek przyjęto.

P. E. Schupik wnosi, by dla dogodności członków w jednym dniu równocześnie w dwóch gminach polowania odbywać się mogły, zwłaszcza na obszarach znacznie od siebie odległych. Poleca uwzględnienie tego wniosku przy oznaczeniu dni polowania. Przyjęto jednogłośnie.

P. F. Hess wnosi, by każdy z członków był obowiązany 50 par nóg ptaków drapieżnych rocznie dostarczyć, w przeciwnym razie płaciłby za każdą brakującą parę 10 centów kary do kasy Towarzystwa. Przyjęto jednogłośnie.

Uchwalono premije za odebraną od kłusowników zwierzynę, przeznaczone dla straży myśliwskiej lub też dla obcych, mianowicie: za sarnę 5 złr., za zająca 1 złr., za kuropatwę lub słonkę 50 cnt., za lisa 3 złr., za wydrę 5 złr., za młodego dzika 5 złr., za starego 10 złr. Premije te mają być bezwłocznie z kasy Tow. wypłacane.

Członek Tow. pragnący nabyć odebraną od kłusowników zwierzynę, płaci za zająca 40 cnt., za sarnę 3 złr., za kuropatwę i słonkę 30 cnt., za dzika młodego czy starego po 12 cnt. kilo. Lisy, wydry i inne drapieżne zwierzęta sprzedawane będą według wartości na korzyść Towarz.

Stan kasy w kwocie 17 złr. 27 cnt. przenosi się na rachunek roku bieżącego, i Wydział otrzymuje absolutoryum z czynności kasowych.

Na rok bieżący uchwala Walne Zgromadzenie wkładkę na czynsz dzierżawny po 3 złr. 50 cnt. od każdego członka, poleca komitetowi ściąganie tych kwot i opłacenie czynszu dzierżawnego. W końcu uchwaliło Zgromadzenie, by w celu zebrania dat statystycznych każdy członek przesłał Wydziałowi listę ubitej przez siebie w r. 1879 zwierzyny.

Podpisy członków.

Od d. 20 Lutego do 6 Marca b. r. polowano w lasach Berezyńskich JW. hr. Potockiego w Mińskiej gubernii, w sześciu myśliwych na niedźwiedzie i łosie. Rezultat był następujący: W 11 ostępach osoczono niedźwiedzi 11, ubito 8. W 4 ostępach osoczono łosiów 21, ubito 6. Wzięto z łohwa żywych niedźwiadków 2, psy udusiły 3. Z liczby upolowanych niedźwiedzi ubito samców 5, samic 3, łosi samców 6.

M. Szeniuga, Łowczy.

Śniatynka, 7 Kwietnia.

W Śniatynce ubito w r. 1878/9: rogaczów 26, zajęcy 16, lisów 7, słonek 22, kuropatw 2, przepiórek 14, kaczek 29, kszyków 68, dubeltów 8. — W r. 1879/80: rogaczów 48, zajęcy 57, lisów 24, kunę leśną 1, słonek 117, przepiórek 30, kaczek 27, kszyków 190, dubeltów 14.

Zajęcy nie strzelano dla zaszanowania przez lat cztery, mimo tego w r. 1880 tak mały rezultat, który zdaje się w roku następnym zejdzie do zera z powodu ciężkiej zimy. Tak też rokować można co do sarn, których stan zmniejszył się o $^{3}/_{4}$ normalnego stanu. Z zestawienia przekonać się można, że stan sarn był dobry, zajęcy bardzo mały. Kuropatwy zupełnie znikły od lat kilku, lisy jak wszędzie były w tym roku bardzo liczne. *Stanisław hr. Tarnowski.*

Kutkorz, 4 Kwietnia.

W państwie Kutkorskiem ubito od d. 1 Marca 1879 do 1 Marca 1880: dzika 1, rogaczy 33, zajęcy 236, bażantów 13, kuropatw 13, jarząbków 7, przepiórek 15, chruścieli 60, słonek 25, dubeltów 15, kszyków 193, kaczek dzikich 39, innego ptactwa wodnego 58. Razem sztuk 708.

Drapieżnych: Lisów 19, kotów 10, psów 5, jastrzębi 55, Razem 89 sz.

Zwracam uwagę, że w Marcu nic już nie strzelano, tylko lisy i jastrzębie są tu wliczone. Motylica dosyć wielkie zrobiła zniszczenie między sarnami, uległo 20 sztuk, które znaleziono w lesie, i to po największej części szpiczaki rodzaju żeńskiego. Wprawdzie stan sarn jest tu znaczny, jednak ubytek w skutek choroby dotkliwy. — Bażanty wytopiła mokra wiosna, i wiele ich wyniszczyli włościanie na swoich łąkach.

G. S.

Krukienice, 9 Kwietnia.

Pozwólcie i mnie kilka słów wypowiedzieć w sprawie uchwały W. Zgromadzenia, odnoszącej się do kart myśliwskich. To nowy podatek dosyć uciążliwy na ludzi porządnych, bo kłusownik albo wcale się bez karty obejdzie, lub opłaciwszy ją, sowicie odwetuje sobie ów koszt na cudzej zwierzynie. Cel będzie najzupełniej chybiony, karty zamiast propagować jak najszerzej racyonalne łowiectwo, odstręczą ludzi rozumnych i cele towarzystwa czynnie popierających, którzy nie dla zysku, lecz dla przyjemności polują. Karty mogą również podkopać egzystencyą „Łowca", a tem samem zmniejszyć liczbę członków Tow. łow., niejeden bowiem biedak łożąc ciężko zapracowany grosz na owo Pismo, które uczy bawi i uszlachetnia, i tak chętnie bywa czytane; gdy mu przyjdzie opłacić podatek nowy, wyrzeknie się literatury dla praktycznej przyjemności myśliwskiej. Mojem zdaniem niechby raczej Tow. łow. wydawało takie karty na lat kilka bezpłatnie, lub jeżeli to być nie może, przez c. k. Władze na przedstawienie Towarzystwa czyli jego delegata, gdyż chodzi tu głównie o wytępienie kłusownictwa, nie zaś o poskromienie łowiectwa w skutek obłożenia myśliwych ciężkim podatkiem, jakoby karą za przestępstwo, którego trzymając się ściśle prawa i nauki wcale nie popełnili. Zresztą zgadzam się zupełnie ze zdaniem hr. Baworowskiego.

Jan Ostrzechowski.

Wulka, 10 Kwietnia.

Do wymownych słów hr. Baworowskiego w sprawie wprowadzenia kart myśliwskich kilka tylko słów dorzucić mogę. Słusznie wytknięto, że wnioskowi owemu brakło najgłówniejszej podstawy, gruntownego motywowania, opartego na naszych krajowych stosunkach. Kodyfikacya też nie z naszych stosunków wyrosła, ale żywcem wzięta z niemieckiego wzoru. Co tam dobre i potrzebne, to u nas wcale może być nieużyteczne, jakoż w istocie tak się rzecz ma. Składajmy w jakibądź sposób jak największe fundusze, wytężajmy wszelkie usiłowania w celu wyniszczenia głównej plagi łowiectwa - kłusownictwa, ale nie tamujmy składaniem bezpożytecznego haraczu zbawiennego dotychczasowego działania Towarzystwa łow. i „Łowca". Jakąż te korzyść przyniosą łowiectwu krajowemu składane summy przez prawdziwych i dbałych o dobro kraju myśliwych? Śmiem twierdzić — absolutnie żadnej! Grosz ów pójdzie na obce łowiectwu cele. Możni posiadacze obszarów łowieckich radziby tą opłatą zmonopolizować ową przyjemność myśliwską, — raczą jednak przyznać, iż prócz nich są również ludzie zacni, którzy przy codziennej pracy radziby także choć w drobnej cząsteczce użyć tej ziemskiej rozkoszy. Jeżeli opłata ma być prawem przepisaną, to przecież różnicę między myśliwymi uczynić należy. A już wpraszania się do łaski możnych wcale nie pojmuję, to demoralizuje ogół, poczciwy myśliwy mając Wofenpass wie, gdzie ma polować, kłusownik zaś o to wszystko nie dba.

W.

Jako członek Tow. łow. poczytuje sobie za obowiązek podać do wiadomości sz. Redakcyi „Łowca" następny wypadek. Dnia 26 Marca w przejeżdzie z Mielca do Dębicy, spotkałem niedaleko R. posiadłości pana B. leśnego niosącego zbiedzonego rogacza. Ponieważ u mnie, począwszy od jesieni r. z. z powodu ciągłej wilgoci, następnie w skutek ogromnych śniegów i nadzwyczaj ostrej zimy, mimo dostatecznej paszy, bardzo wielka ilość sarn wyginęła, a według istniejących przepisów łowieckich już pora nadeszła, w której strzelanie tej zwierzyny jest wzbronione; byłem pewny, że ów rogacz poległ z choroby. Na moje jednak zapytanie odpowiedział leśny: „że przedwczoraj pan leśniczy z wyraźnego polecenia Pana Hrabiego rogacza zastrzelił, a mnie kazano odnieść go do dworu". — Jeżeli zatem panowie właściciele większych posiadłości, szczególniej zaś pan B. w R. posiadający znaczną przestrzeń lasów,

w taki sposób przestrzegają Ustawy, to zaiste nie można się dziwić, jeżeli kłusownictwo takim przykładem zachęcone, do dzisiaj u nas wolne znajduje pole do karygodnego działania. *G.*

Olejów, 20 Kwietnia.

Słonki tej wiosny same zaprotestowały przeciw wnioskowi niestrzelania ich, dowodząc małą ilością przybyszów nieszkodliwości polowania wiosennego, które temu cenionemu gatunkowi ptactwa żadnego prawie nie czyni uszczerbku. Z d. 3 na 4 przyleciały na termin w trzech rewirach po jednej, w dwóch po dwie, i te awangardy czekały na towarzyszki, które nie nadlatywały przez dwa tygodnie. Z d. 9 na 10 przyleciało do jednego lasu 22, do drugiego 6, i na tem się tegoroczny ciąg zakończył. Czy one doznały przez srogą zimę klęski na wschodzie, czyli też ciąg obrócił się na inne szlaki, to pozostanie dla nas tajemnicą. Oczywiście wysłane pojedyńcze najsilniejsze ptaki na zwiady, oczekiwały na śniegach słonek, lecz one nie przybyły. Te ciekawe osobniki uważałem i w innych gatunkach ptaków, jak kosy, bociany, dudki i pliszki. Nawet do tej chwili gniazda bocianów z antenatów, nie są obsadzone, i widujemy je pojedyńcze. Według tych danych zdawałoby się, że po egipskiej wiośnie przyjdzie nasza polska dokuczliwa i pełna klęsk, i że takową ptaki przeczuwają, albo jest to znowu wyjątek śród kroci wyjątków tegorocznych, a może ptaki wędrowne przez zimę i w podróży zostały zdziesiątkowane.

Kazimierz hr. Wodzicki.

List ojca do syna. Mój drogi, weź do serca mądre rady twego doświadczonego ojca, idź za niemi i czyń według nich, a staniesz się sławnym i wielkim myśliwym i strzelcem.

Mój synu! nie strzelaj rychlej do wilka, aż ten kulę będzie miał w swem cielsku, bo wtedy łatwiej ci będzie go uśmiercić.

Mój synu! mój najukochańszy synu! Jeżeli strzelasz do dzików kulami z ogonkiem, do którego korek przymocowany, to weź z sobą do lasu *tire-bouchon*, bo kula gdy w dziku ugrzęźnie, a korek otwór zatka, to dzik nie farbuje; wtedy wyciągnij tirbuszonem korek, a farba ciurkiem się poleje, i będziesz mógł za takim tropem dalej prześladować dzika.

Mój najdroższy synu! Jeśli chcesz zabić odyńca, to traf w zad koło ogonka. wtedy dzik niezawodnie siądzie, a ty z łatwością będziesz mógł drugą kulą go powalić, i obwołany będziesz znakomitym strzelcem.

Mój najmilszy! Gdy kiedykolwiek staniesz na wybornem stanowisku, a dziki całą trzodą wyjdą na ciebie, i nie będziesz dosyć zręcznym, aby szybkie *coup-double* zrobić, to zabij przynajmniej czasem jaką choćby drobną sztukę, a okrzykną cię z entuzyazmem nieporównanym strzelcem.

Mój synu! Choćby ci się ośm razy w życiu wydarzyło zrobić *coup-double* do dzików, a raz tylko cztery świnie ciężko przez ciebie postrzelone i mocno farbujące przeszły granicę; to już na całe życie twoje pozostaniesz w mniemaniu wielkich myśliwych fuszerem.

Mój serdeczny synku! Jeśli spostrzeżesz, że twój sąsiad na stanowisku zmienia broń, to możesz toż samo uczynić, lecz naprzód przekonaj się, ażali on sztuciec lub śrótówkę do rąk chwycił.

Dziecię moje rodzone! Gdy chcesz na pewne zabić odyńca, strzelaj naprzód śrótem, wtedy on z bolu wygnie się i zwinie, a ty swobodniej śmiertelną kulę mu wpakujesz.

Najdroższy! Gdy cztery razy będziesz polował na dziki w P., i wystrzelasz dwadzieścia kilka kul do nich a śrótu bez miary, to musisz zabić choćby trzy sztuczki, aby uchodzić za nieporównanego strzelca.

Mój robaczku miły! Jak przyjedziesz do P. z wielkim animuszem łowieckim, nie przywoź z sobą odtylcówki, mogłoby ci się bowiem wydarzyć, że 5 zajęcy i 3 rogacze raz po raz haniebnie spudłujesz.

Wreszcie mój synku! noś z sobą na polowanie cały arsenał; wizuj zwierzynę przez szkła i szkiełka; nie żałuj języka, by swój trafny strzał wynieść pod niebiosa, a pudło osłonić przeszkodami, których ludzki rozum zwalczyć nie zdoła; nie szczędź słów miodowych, z których wszakże jad tryska zabójczy; głoś sławę swoją, pomiataj cudzą, a staniesz się sławnym myśliwym, wielkim strzelcem, i będziesz obwołany królem łowców!! *E. S.....r.*

Obszerniejsze sprawozdanie o tegorocznym wiosennym ciągu słonek damy w następnym numerze, dotąd bowiem nie mamy dostatecznych z całego kraju doniesień. Nadmienić tylko możemy, iż należał on z powodu zimna do słabszych i mniej obfitych, ku końcowi nieco się ożywił. Rezultat poległych słonek będzie zapewne w porównaniu z innymi latami bardzo mały.

Gdzie ptactwo przelotne ląduje? Dr. Karol Russ mówi w swojem czasopiśmie: „*Die gefiederte Welt*": Wiadomo, że prawie wszystkie zwierzęta począwszy od polipów aż do ssawców przyciąga ku sobie światło ognia nocnego. Znaną jest owa właściwość ognia, bywa też wyzyskiwaną przy różnorodnych łowach. Również ptactwo podlega temu dziwnemu pociągowi, który staje się dla wielkiej jego części zabójczym. Na wybrzeżach morza północnego, na Bałtyku znajduje się, jak wiadomo, znaczna ilość latarń morskich, na których corocznie tysiące ptactwa przelotnego ląduje. Urzędnik jednej z takich latarń mówi w swojem sprawozdaniu: „Podczas ciepłych nocy letnich okrążają latarnie sowy i inne ptaki nocne, jakoteż małe spiewaki, z jakiegoś powodu ze spoczynku obudzone, lub siadają na kraty ochronne dróciane, któremi okryte są kosztowne szyby aparatu latarniowego. Ile takie zabezpieczenie jest koniecznem, niech następne słowa poświadczą. Zaledwo lato ku końcowi się zbliża, poczyna się wędrówka ptactwa z zimnej północy ku pociągającemu południowi. W każdej niemal nocy odzywa się gwar i dudnienie na kracie wieżowej, pierzaści bowiem podróżnicy zbaczają z szlaków wędrownych, i nadlatują z wielką szybkością ku owym żelaznym sidłom, aby ów zapęd życiem przepłacić. Wielka liczba rozbija sobie o nie dzióby i czaszki, inne głowami więzną i duszą się w siatce drucianej, u niektórych skaleczenie nie wywołuje nagłej śmierci, ale wstrzymuje je na miejscu zawieszone w drutach, lub też spadają z wieży, rozbijają się i stają pastwą czyhających na łup kotów. W rzeszy wędrownej znajdują się jednak pojedyńcze, przezorne latawce, te siedzą nieuszkodzone na drutach, i przypatrują się całemi godzinami z zadziwieniem ogniom, które jakoby czarodziejską mocą przykuwają ku sobie ich uwagę. Rzewny widok otwiera się z brzaskiem dnia. Leżą martwe z otwartym dzióbem jaskółki, drozdy, wilgi, makolągwy, jemiołuchy, pliszki i wiele innych małych spiewaków, a między tem ptactwem znajdują się także bociany, dzikie kaczki i gęsi. Dla pierwszych bywa dziób długi zabójczym, u drugich bywa zwykle spód dzióbu oderwany. Niezliczona mnogość wędrujących ptaków uderza tylko skrzydłami o wieżę, lekko się kaleczy, pada dopiero później i ginie po większej części. Gdyby statystyka tym przedmiotem się zajmowała, toby musiała postawić niesłychaną cyfrę takich rozbitych ptaków.

Ostra zima sprawiła, że zgłodniałe wilki zapędzały się nawet w miejsca, gdzie ich dawno nie widziano, że w zwykłych swoich siedzibach pojawiły się w znacznej liczbie. *Pester Lloyd* donosi, że wilki srożą się w gminach Foth, Rakos-Palota i Nowego Pesztu, i opadają ludzi. W Lotaryngii wpadają wilki tej zimy gromadnie do wsi i porywają psy z łańcuchów, nawet w pobliżu miast są ich tropy. Umniejszenia liczby tych drapieżników nie znać, lubo tam wilki z urzędu są prześladowane, i corocznie 50 do 60 ich pada. Utrudnia pomyślny skutek zabiegów w tej mierze ogromny obszar gęstych lasów, zresztą zarządzenia rządu francuskiego nie idą równie z niemieckiemi, zwierz przeto drapieżny po jego stronie jest znacznie liczniejszy, jak po stronie niemieckiej. Urządzanie w powiatach nadgranicznych wspólnych polowań, projektowane w najnowszych czasach, nie doszło dotąd do skutku. Możeby podwyższenie strzałowego przyczyniło się do zmniejszenia drapieżników. — Z Finlandyi donoszą do „*Petersburskiej Gazety*": Zuchwałość wilków w tej zimie jest niesłychaną. Opadły wieśniaka na saniach, zaledwie zdołał na koniu umknąć, a wilki rzuciły się na sanie. W Kimito wspiął się wilk przedniemi łapami na okno, i zaglądał do wnętrza izby. W innem miejscu opadły człowieka, który mimo rozpaczliwej obrony siekierą, byłby uległ, gdyby jego wołanie o pomoc nie ściągnęło ludzi na ratunek. W pewnej wsi opadł wilk w obecności rodziców ośmioletniego chłopaka, i zawlókł go do lasu, gdy rodzice go dopędzili, znaleźli już dziecię martwe i straszliwie pokaleczone. — W „*Mołwie*" znajdujemy uwiadomienie z Uralska jako dowód ostrości zimy, że pewnemu hodowcy koni z 1000 zginęło w przeciągu 3 do 4 dni w skutek mrozów 700, a bydło pada massami, albowiem z powodu posuchy w lecie przyłącza się brak paszy. — Z Elizawetgrodu donoszą do „*Ruskiej Gazety*": „Włóczy się tu taka liczba wilków, że niepodobna ruszyć w step bez strzelby. Niedawno rozdarły wilki, zabiegający aż ku wsiom, dwóch przechodzących z jednej do drugiej wsi wieśniaków. Już od kilku miesięcy trapi powiat Ananiewski, plaga wilcza, i wiele setek bydła już padło ofiarą ich żarłoczności. Niedawno wyprawili w trzodzie złożonej z 285 owiec formalną rzeź. Nawet wśród dnia pojawiają się w odleglejszych częściach miast". — Na stokach Pyryneów widziano w ciągu tej ostrej zimy wilki, również przy Bayonne, gdzie ich od r. 1830 nie widziano. *Jagd-Zeitung.*

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.

DODATEK NADZWYCZAJNY do Nru 5go „ŁOWCA“.

Lista członków galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego. *)

Abrahamowicz Adolf.
„ Dawid.
Agopsowicz Jakób.
Artwiński Mieczyław.
Asłan Mikołaj.
* Augustynowicz Bolesław.

Bajewski Walery.
* Bal Józef
* Barbaszewski Teodor.
Bartmański Feliks.
„ Oswald.
Bäumel Wacław.
Baworowski Władysław hr.
Beer Wilhelm.
Benoe Atanazy.
Bentz Józef.
Berezowski Wincenty.
Berwid Franciszek ks. kan.
* Berzewiczy Ezechiel.
Bielański Gustaw.
Bielski Juljusz.
Biesiadecki Jan dr.
Błażowski Edward baron.
„ Maryan „
„ Mieczysław baron.
Bobrowski Wincenty hr.
„ Władysław hr.
Bodakowski Aloizy.
Bogucki Władysław.
Bohdan Hipolit.
Borkowski Aleksander hr.
„ Emanuel „
„ Mieczysław „
„ Włodzimierz „
„ Jan
* Borkowska Marya Otylda.
Borowski Józef Skarbek
Borzysławski Władysław.
Breza Henryk.
Broniewski Antoni.
Brunicki Adolf baron.
„ Józef „
„ Juljusz „
„ Seweryn „
Brykczyński Stanisław.
Brzostowski Michał.
* Bubella Konstanty.
* Buczacki, sędzia powiatowy.
Bzowski Konstanty.
„ Władysław.

* Cętar Wojciech.
Cetner Albert hr.
Chajęcki Tadeusz.
Chomicki Jan.
Christiani Henryk.
* Cielecki Artur.
„ Włodzimierz.
Cieński Aleksander.
Ciepielowski Władysław.
Cwierzewicz Edward.
Cywiński Andrzej.
Czajkowski Władysław.
* Czartoryski Roman ks.
Czechowicz Władysław baron.
Czerkawski Ludwik.
„ Władysław.
Czerski Witold.
Czerwiński Kazimierz.
* Czetwertyński ks.

Dąbrowski Antoni.
Dembiński Zdzisław.
Dembowski Zygmunt.
Demianowski Zygmunt.
Dolański Henryk.
„ Stanisław.
Drohojowski Bolesław hr.
„ Józef „
* „ Seweryn „
„ Kazimierz „
„ Zygmunt „
Duniewicz Edward.
Dzieduszycki Edmund hr.
„ Juljusz „
„ Karol „
„ Stanisław „
„ Tadeusz „
„ Włodzimierz hr.
Dzikowski Alfred.

Eder Tytus.

Fabiański Wacław.
* Fabricius Konstanty.
* Fedorowicz Władysław dr.
Feuer Jan.
Fihauser Stanisław.
* Fredro Aleksander hr.
* „ Andrzej „
„ Edward „

Garapich Stanisław.
„ Władysław.
Gargaszyński Jan.
Gebauer Wincenty.
Gizowski Józef.
Glanz Józef c. k. lustrator lasów.
Głowacki Henryk.
Głuchowski Grzegorz.
Gniewosz Aniela.
* „ Antoni.
„ Władysław
Gnoiński Aleksander.
„ Aleksander.
„ Jan dr.
„ Michał dr.
„ Wincenty.
* Godlewski Józef.
Gołaszewski Napoleon.

*) Gwiazdką * oznaczeni członkowie nie wpłacili dotąd wkładki za rok 1880, więc na mocy statutu nie otrzymują od Kwi[e]tnia „Łowca“.

Gołuchowski Agenor hr.
* Gomuliński Juljan.
Gorayski August.
Gorecki Stanisław.
Gorski Władysław.
Gostyński Franciszek.
„ Karol.
Grand Józef.
Greger Franciszek.
* Groblewski Michał.
Gumiński Ignacy.
Gutowski Feliks.

* Henze Adolf.
Henzel Adam dr.
Hess Franciszek.
Heydel Adam baron.
Hirsch Piotr.
* Hohendorf Edwin.
„ Józef.
Horoch Adam baron.
„ Tadeusz „
Horodyński Bogusław.
„ Kazimierz.
Hosch Edward.
Hulimka C.
„ Teodor.
Hupka Kazimierz.

Jabłoński Mieczysław.
Janicki Jan.
„ Ryszard.
* Janiszewski Stanisław.
Jankowski Franciszek.
„ Kazimierz.
Janowski Ferdynand.
* Jarosławski Antoni.
Jarzembiński Franciszek ks.
Jasiński Marceli.
„ Stanisław.
* Jaworski Gabryel.
* „ Kazimierz.
Jaźwiński Karol.
* Jędrzejowicz Franciszek.
„ Józef.
* „ Maryan.
„ Stanisław.
Jełowicki Juljan.
Jurnatowski Jan.

* Kamiński Stanisław.
* Kaucki Karol c. k. starosta.
Kęplicz Maryan.
„ Waleryan.
Kielanowski Tytus.
Kieszkowski Czesław.
„ Jacek.
Kierski Stanisław.
* Kisielka Karol.
Kłosowski Władysław.
Kokurewicz Michał.
Kolesiński Seweryn.
Komarnicki Jan.
* Koncki Józef, sędzia pow.
Konopacki Mieczysław.
Kopczyński Stanisław.
„ Ignacy.
* Kornicki Jan.
* „ Karol.
Korytowski Franciszek.
* „ Juljusz.
Kownacki Antoni.
„ Tadeusz.
Kozicki Antoni.
„ Juljusz.
Koziebrodzki Justyn hr.
„ Szczęsny hr.
„ Władysław hr.
Kozłowiecki Czesław.
Krafft Aleksander.
* Krasicki Ignacy.
„ J. pełnomocnik.
Kratter August.
„ Ferdynand dr.
„ Frydryk.
Kriegshaber Ferdynand.
Krogulski Seweryn.
Krokowski Leon.
Krusenstern hr.
Krzeczunowicz Juljan.
Kuczyński Leon.
Kwilecki Zbigniew hr.

Lachowski Eugeniusz, c. k. starosta.
* Lang Bronisław.
Langiewicz Kajetan.
Lardymer Edmund.
* Larisch Karol.
Laurecki Leon ks.
Lekczyński Czesław.
„ Wincenty.
Lewakowski Alfred.
Lipski Aleksander.
Lityński Edmund.
Lubomirski Adam książe.
„ Stanisław książe.

Łastowiecki Piotr.
„ Zygmunt.
Łączyński Henryk hr.
* „ Hipolit.
* „ Izydor.
Łodyński Stanisław.
* Łoś August hr.
Łoziński Józef.
„ Stefan.
Łubieński Roger.
* Łukasiewicz Stefan.
Łysakowski Jan.

* Macieszkiewicz Władysław.
Madejewski Walery.
Madejski Marceli dr.
„ Piotr.
Magnowski Dominik.
Maniewski Maryan.
* Marasse Adam hr.
Markiewicz ks.
* Markowski.
Marynowski Wacław.
Matkowski Stanisław.
Mattauschek Wacław.
Mazaraki Maryan.
Miączyński Józef.
Micewski Edward A.
„ Władysław.
Michałowski Piotr.
Mier Karol hr.
Mieszkowski Franciszek.
Mikolasch Karol.
Milewski Walenty.
Miliński Józef.
* Minasiewicz Mikołaj.
Mniszek Antoni.
„ Mieczysław.
„ Władysław.
* „ Zygmunt hr.
* Mojseowicz Ignacy dr.
Morawski Romuald.

Morawski Włodzimierz.
Morowski Tymon.
Morsztyn Roman hr.
* Müldner.

Niedzielski Stanisław.
Niementowski, adjunkt sądowy.
Niezabitowski Witold.

Obertyński Emil.
„ Jan.
„ Kazimierz.
„ Zdzisław.
Obmiński Juljan.
Oborski Antoni.
Obst Jan.
Ochocki Władysław.
Oczosalski Edward.
„ Stefan.
* Olizar Erazm hr.
Olszewski Benedykt.
Omeis, dr. med.
Oraczewski Onufry.
* Orłowski Oktaw.
Ornatowski.
* Ornstein Wilhelm dr.
Orzechowicz Bolesław.
* Ostaszewski Adam.
Ostrzechowski Jan.

Palmarin Wilhelm.
Paszkowski Franciszek dr.
Paszkudzki Mieczysław.
Pawlas Juljan dr.
* Pawlikowski Konstanty.
„ Stanisław.
* Perelli Józef.
Pfau Henryk, c. k. starosta.
Piegłowski Stanisław.
* Pieńczykowski Jan.
„ Józef.
* Piwko Zygmunt.
Pluschk Ferdynand.
* Pławicki Feliks.
* Podczaski Mieczysław.
Podlewski Wincenty.
Polanowski Stanisław.
Poniński Romuald książe.
Popiel Stanisław.
Potocka Marya hr. z ks. Sanguszków.
Potocki Artur hr.
* „ Artur „ (Buczacz).
* „ August „
„ Józef „
„ Roman „
* „ Stanisław hr.
Praun Aloizy.
* Przanowski Jan.
Przybyłowski Stanisław.
Przybysławski Władysław.
Puzyna Juljusz kniaź.
* „ Roman „

Raciborski Władysław.
Radzikowski Ludwik.
* Rafałowski Seweryn.
Rakowski Józef.
Rapacki Władysław.
* Reichard de Reichardsberg Franciszek.
Remiszewski Kazimierz.
Rieger Władysław.
„ Zygmunt dr.
Rogaliński Mieczysław.
Roguski Juljan.
Roiński Emanuel dr.
* Romanowski Tadeusz.
* Romaszkan Jakób baron.
Rozwadowski Bronisław.
„ Franciszek.
Rożen Jaxa Mieczysław.
Rudnicki Kazimierz.
Rychlicki Leonard.
Rydel Roman.

Sanguszko Eustachy książe.
Sapieha Adam książe.
* „ Jan Paweł książe.
„ Leon książe.
„ Paweł książe.
„ Władysław książe.
Sarnecki Napoleon.
Sauschek Franciszek.
* Scipio Karol hr.
Schnell Artur.
„ Oskar.
Serwatowski Maciej Zenon.
Siegler de Eberswald Juljusz.
Sielski Stanisław.
Siemieński Jan.
„ Wilhelm hr.
Siemiginowski Bronisław.
„ Włodzimierz.
Simon Edward.
Skarbek Mieczysław hr.
Skrzyński Seweryn.
„ Stanisław.
„ Zdzisław.
Słonecki Zenon.
* Smalawski Jan
Śmiałowski Bolesław.
Sobota Karol.
Sochanik Nikodem.
Sokołowski Antoni.
Sołowij Jan.
Stadnicki Edward Adam hr.
„ Jan „
„ Stanisław „
Starzecki Karol.
* Starzeński Edmund hr.
„ Juljusz „
„ Leonard „
„ Leopold „
Starzyński Eustachy.
„ Tadeusz.
Stojowski August.
„ Bolesław.
„ Jordan Mieczysław.
Stopczyński Artur.
„ Piotr.
Straszewski Marceli.
„ Władysław.
Strawiński Gustaw.
Szawłowski Ludwik.
„ Tytus.
Szczepański Aleksander.
„ Kornel.
Szczerbicki Franciszek.
* Szembek Stefan hr.
Szeptycki Jan hr.
Szulc M.
* Szymanowski Roman.

Tarnowski Jan hr.
„ Jan (syn) hr.
„ Juljusz „
* „ Stanisław „
„ Szczepan „
„ Zdzisław „
Tchorznicki Roman.

Tchorznicki Władysław.
Teodorowicz Teodor.
Terlecki Aleksander.
Topolnicki Józef.
Torosiewicz Edward.
„ Emil.
„ Jan.
* „ Izydor.
„ Kajetan.
„ Klemens.
* „ Mikołaj.
Treter Hilary.
* Trojacki Włodzimierz.
Trzecieski Zbigniew.
Turkułł Onufry.
Tustanowski Juljusz.
* „ Michał.
* „ Władysław.
Tyszkiewiczowa z hr. Potockich Klementyna hr.
Tyszkiewicz Marceli hr.
Tyszkowski Józef.

Ubysz Edward.
* Udrycki Adolf.
* Ujejski Bronisław.
* „ Roman.
Urbański Jan.
„ Mieczysław.
Ustrzycki Włodzimierz.

Vivien Jan.

Weissenwolff Jadwiga hr.
Weissmann Edward.
Wendorff Józef.
* Wernberger Egidjusz dr.
Wernicki Józef dr.
Wierzbowski Edmund.
Wierzchlejski Kazimierz.
Wiesiołowski Teofil.
Wiktor Władysław.
Windakiewicz Ludwik.
Winnicki Kazimierz.
Winter Kornel.
* Wituszyński dr. med.
Wodzicki Kazimierz hr.
„ Ludwik „
* „ Antoni „
Wojciechowski Romuald
* „ Wiktor.
Wojczyński Alfred.
Wojnarowski Edmund.
* Wolański Erazm.
* „ Mikołaj.
„ Władysław.
Wolski Franciszek.
„ Eustachy.
* Wyrzyk Maryan.

Younga Włodzimierz.

Zaklika Kazimierz.
Załanowski Feliks.
Zamoyski Andrzej.
„ Andrzej.
„ Stefan.
* Zarewicz Adam.
Zawadzki Józef.
Zbyszewski Andrzej.
„ Kazimierz.
* Zehenter, sędzia pow.
* Ziembicki Gwalbert.
Ziglbauer Edward.
Zontak Władysław.
* Zwolski Kazimierz.

Żurowski Teofil.

INSERATY.